MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 29. WARSZAWA, 2 LIPCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

AMORALNOŚĆ ŻYCIA GOSPODARCZEGO

KAŻDY system prawny musi być przestarzały, a każdy ludzki wymiar sprawiedliwości — niedoskonały. Wynika to stąd, że normy prawne są zawsze przystosowane do stosunków, form życia gospodarczego, zwyczajów, które istniały w przeszłości, a obowiązywać mają w przyszłości. Nie można marzyć o tem, by system prawny zapewnił sam przez się przestrzeganie elementarnych zasad etycznych w życiu społeczeństw, a zwłaszcza w tej doniosłej dziedzinie, którą nazywamy działalnością gospodarczą człowieka. Gdy żadne więzy moralne, żaden głos sumienia nie będzie krępował żądzy zdobycia pieniądza, ludzie zawsze potrafią sobie wymyślić nowe formy obchodzenia prawa.

Najłatwiej wyjaśnić to na przykładzie. Od pierwszych początków prawa karnego próbuje ono przy pomocy sankcyj zapewnić poszanowanie nakazu moralnego, zawartego w przykazaniu „nie kradnij". Otóż, niewątpliwie, tak zwane łapownictwo jest wykroczeniem przeciwko siódmemu przykazaniu, a przez długi czas nie było uznawane za przestępstwo, podlegające karom doczesnym. Z czasem pojawiło się ono dopiero w kodeksach. Ale życie znowu idzie „naprzód". Oto wymyślono nowe formy łapownictwa, nie podlegające jeszcze przepisom kodeksów.

Wyobraźmy sobie naprzykład taką sytuację: Jakiś wybitny polityk poświęca się „działalności gospodarczej". Wpływa na obsadzanie stanowisk państwowych „swoimi ludźmi", którzy będą gotowi do oddawania mu odpowiednich usług. Dzięki temu polityk ten jest chętnie wybierany do różnych rad nadzorczych, z czego naturalnie ciągnie odpowiednie zyski. Otóż mamy tu do czynienia z różnemi formami łapownictwa. Urzędnik, korzystający z możnego poparcia, może liczyć na awans, oddaje zatem swemu protektorowi usługi, jakich nie oddałby zwykłemu śmiertelnikowi. Polityk, nadużywający swego stanowiska i wpływów dla osobistych korzyści, postępuje również nieuczciwie.

Ale niema w kodeksie karnym przepisów, któreby takiego pana stawiały na jednej płaszczyźnie ze złodziejem kieszonkowym. Tymczasem, z punktu widzenia etycznego, zamaskowane formy łapownictwa są tem samem, co zwykła kradzież.

Jest jedna różnica: gdyby powiedzieć jakiemuś panu, uprawiającemu zręcznie zamaskowane łapownictwo, że jest złodziejem, byłby szczerze zdziwiony. Przecież nie kradnie. Ale kradzieżą nie jest tylko wyciąganie komuś z kieszeni portfelu. W miarę komplikowania się życia, powstawania coraz to nowych form i zwyczajów, trzeba coraz staranniej analizować swoje postępowanie z punktu widzenia elementarnych zasad etyki. Nie można zadowalać się tem, że w dekalogu nie wspomniano o przyjmowaniu stanowiska członka rady nadzorczej w jakiejś spółce akcyjnej, albo o kursach, po których może urzędnik państwowy kupować akcje od jakiegoś banku.

A jednak zarówno przyjęcie stanowiska członka rady nadzorczej, ofiarowanego urzędnikowi państwowemu, czy politykowi, wzamian za wystaranie się o pewne przywileje dla przedsiębiorstwa, albo kupno akcyj od banku Morgana przez szereg dygnitarzy amerykańskich po kursie „uprzywilejowanym" — to są czyny objęte niewątpliwie krótkiem i jędrnem określeniem dekalogu: „nie kradnij". Trzeba się tylko trochę zastanowić nad tem, by rzecz dobrze zrozumieć.

Niestety, znana jest słabość umysłu ludzkiego, polegająca na tem, że trudno mu pojąć rzeczy nieprzyjemne. Wogóle niepotrzebne jest wdawanie się w rozważania, które doprowadzić mogą do zrezygnowania z zysków, — oto podświadome rozumowanie ludzi, którzy uważają się za uczciwych, ale uczciwymi nie są.

Niestety stwierdzić należy, że czasy obecne pod względem zaniku zmysłu moralnego przedstawiają obraz bardzo smutny, a czyny kolidujące z elementarnemi zasadami etyki są chlebem powszednim dużej części ludności, która w swem ręku skupiła wielką ilość bogactw. Przypisać to należy między innemi, a może przedewszystkiem, wpływowi tej grupy rasowej i wyznaniowej, która nie uznaje z zasady żadnych obowiązków moralnych wobec społeczeństwa innego wyznania. Wpływowi duchowemu żydów „zawdzięcza“ ludzkość cywilizowana przyjęcie się poglądów, wedle których dla zapewnienia powszechnego dobrobytu i szczęścia ludzkości wystarczy rozumna dbałość o własne interesy. Dziś dopiero widzimy, jak dalece poglądy te wpłynęły na osłabienie zmysłu moralnego, a przedewszystkiem na zupełne zlekceważenie naczelnego wskazania etyki chrześcijańskiej: miłuj bliźniego.

Gdyby typowemu przedstawicielowi t. zw. sfer gospodarczych powiedzieć, że przyczyną obecnego kataklizmu gospodarczego jest upadek moralności, to by się szczerze roześmiał. A jednak...

Wśród ekonomistów ustalił się pogląd, że przyczyny kryzysu szukać należy w zjawiskach wymiany, a nie produkcji. Absurdem bowiem jest twierdzenie, że wytwarzanie „nadmiernej“ ilości dóbr, naprzykład zboża, może być przyczyną niedostatku. Natomiast kryzys polega na tem, że wielkie ilości rozmaitych towarów nie mogą być wymienione. Upraszczając skomplikowany obraz rzeczywistości powiedzieć można, że produkcja przemysłowa nie mogła być wymieniona na artykuły rolnicze, chociaż miasta miały nadmiar wytworów przemysłowych, a cierpiały na brak artykułów rolniczych, gdy naodwrót wieś odczuwała brak produktów przemysłowych, miała zaś nadmiar wytworów rolniczych.

Widzimy zatem, że niedomagania gospodarcze— to wynik wadliwości wymiany i wadliwości p o d z i a ł u bogactw czyli — zdolności nabywczej. Tymczasem właśnie lata powojenne są okresem szybkiego rozwoju rozmaitych organizacyj i instytucyj, mających na celu „racjonalizację“ wymiany, oraz udoskonalenie systemu dysponowania kapitałami. Rozwój karteli i zaznaczający się coraz silniej wpływ wielkich banków na życie gospodarcze wszystkich krajów — to cechy charakterystyczne późnego kapitalizmu, a zarazem nader istotne przyczyny niedomagań gospodarczych.

Egoizm, podniesiony do godności koniecznego warunku szybkiego wzrostu bogactw w świecie, był mało szkodliwy tak długo, dopóki był to egoizm „w rozsypce“. Dziś walka zorganizowanych egoizmów przynosi światu niebywałą katastrofę gospodarczą.

Oczywiście trzeba być marzycielem, by liczyć na rychłe zwycięstwo zasad miłości bliźniego w życiu gospodarczem. Ale gdyby się udało usunąć jawnie niemoralne metody z życia z gospodarczego, to — śmiem twierdzić — zrobiłoby się połowę zadania, polegającego na zabezpieczeniu świata przed skutkami wstrząsów ekonomicznych.

A lista niemoralnych procederów, którą można zestawić, jest dosyć długa.

Przedewszystkiem niemoralne są wszelkie próby zorganizowanego wyzysku przez monopolizację zbytu. Trzeba to twierdzenie bliżej wyjaśnić. Gdy pewna ilość wytwórców porozumie się dla wspólnego ustalenia cen wytworów, to nie jest to jeszcze samo przez się niemoralne. Natomiast metody eliminowania konkurencji bywają nieraz dalekie od zasad etycznych. Naprzykład w pewnym kraju właścicielom większości kopalń węgla udaje się przekonać rząd, że dla dobra Ojczyzny konieczne jest zorganizowanie przymusowego kartelu. Sprawa ta nasuwa pewne trudności, skoro znajdą się przeciwnicy kartelu, gdyż w zasadzie każdy może sprzedawać swoje produkty po cenie, którą uzna za stosowną. Otóż rząd postępuje w ten sposób: kopalnie, które nie chcą przystąpić do kartelu, nie otrzymują wagonów, koniecznych dla przewozu. Zarządzenie to nie jest oparte na żadnych podstawach prawnych, władza publiczna występuje tu jako wykonawca planów kilku prywatnych przedsiębiorców. Jest tu oczywiście niemoralne.

Albo eksploatacja drobnych ciułaczy przez zorganizowany kapitał. Istnieje naprzykład spółka akcyjna, której udziały są w 60-ciu procentach własnością jakiegoś banku, a w 40-tu procentach drobnych akcjonarjuszy. Oczywiście, bank rządzi spółką bez oglądania się na wolę pozostałych. Bilansy są tak zestawiane, że zysku, któryby przypadł w udziale wszystkim udziałowcom, niema, a cały dochód zabiera bank w postaci odsetek od udzielonego kredytu, lub w innej, dobrze zamaskowanej formie. W tym wypadku nadużycie jest zupełnie oczywiste, chociaż nie podpada pod przepisy kodeksów karnych. Zresztą repertuar metod, przy których pomocy kapitał pieniężny eksploatuje „żywych ludzi“, jest bardzo bogaty.

Nadmierna ingerencja państwa w życiu obywateli może być również niemoralna. O ile ciężary, nakładane na społeczeństwo, są konieczne dla zapewnienia ładu i bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, to nie można mówić o jakiejkolwiek niemoralności w postępowaniu państwa. Natomiast jeżeli w jakiemś państwie dorwie się do władzy grupa społeczna, zmierzająca do zapewnienia sobie wygodnej i zabezpieczonej egzystencji kosztem ogółu społeczeństwa, jeżeli aparat państwowy rozszerzany jest sztucznie dla dania chleba, „dobrze zasłużonego“, większej ilości „swoich ludzi“, to jest to zwykły wyzysk społeczeństwa dla niskich celów. Kreowanie nowych posad po to, by dać komuś zasłużonemu niezły zarobek, jest z gruntu niemoralne. Po wojnie właśnie system eksploatacji społeczeństw przez zorganizowane kliki biurokratyczne jest przyczyną niesłychanego wzrostu ciężarów publicznych w wielu państwach, a wzrost ciężarów publicznych jest znowu przyczyną przesileń. Zaznaczyć należy, że oczywiście motyw dania zarobku „swoim ludziom“ jest starannie ukrywany, ale nie zmienia to w niczem istoty rzeczy.

Zacytowaliśmy powyżej kilka form niemoralnego wyzysku społeczeństw przez zorganizowane grupy. Ich postępowanie uważane jest powszechnie za zupełnie normalne i moralne, a opinja publiczna w poszczególnych krajach nie traktuje wielkich przestępców narówni ze złodziejami kieszonkowymi. To właśnie jest najlepszym dowodem, jak dalece stępił się zmysł etyczny. A to znowu stępienie zmysłu etycznego jest bodaj najistotniejszą przyczyną przesileń. Wszelkie konkretne przyczyny kryzysu, wymieniane przez ekonomistów, jak naprzykład wzrost ciężarów publicznych, inflacja kredytowa, sztywność cen, nadmierny ciężar odsetek i t. p. mają jedną wspólną przyczynę, a jest nią niemoralność życia gospodarczego w świecie współczesnym.

F. K.

O ODSETKACH

Bratu twemu nie będziesz pożyczać na procent ani pieniądza, ani zboża, ani jakiejkolwiek innej rzeczy — jeno gojowi.

(Deuter. XXIII, 19)

CHCĄC zrozumieć motywy, kierujące Kościołem w jego odwiecznej walce przeciw odsetkom od kapitału, najwygodniej sięgnąć do „*Summa Theologica*“ św. Tomasza z Akwinu, stanowiącej, zgodnie ze swym tytułem, rzeczywiście szczytowy punkt w rozwoju i ujęciu myśli katolickiej[1]). Współczesna „rehabilitacja“ św. Tomasza przypomina żywo zainteresowanie „prymitywami“ w malarstwie, tak charakterystyczne dla naszej epoki. Podobnie jak obraz Fra Angelica lub Botticellego, „*Summa*“ św. Tomasza wykazuje pod pozorami średniowiecznej naiwności tak głębokie pokłady myśli — chciałoby się prawie powiedzieć artyzmu — że czytelnik, wgłębiający się w poszczególne zdania, mające nierzadko na pierwszy rzut oka wszelkie pozory komunałów, zaczyna odkrywać w nich coraz to dalej sięgające perspektywy. Myśl Arystotelesa, sumująca w sobie doświadczenia świata starożytnego, przeszczepiona na światopogląd chrześcijański i przefiltrowana przez tysiąc lat doświadczenia Kościoła katolickiego, znalazła w filozofji Akwinaty syntezę, nie mającą równej sobie w żadnej innej epoce. Współczesny świat wydaje się być różny od świata, w którym żył i myślał św. Tomasz. Ale zasady, obowiązujące w społeczeństwie ludzi, nie zmieniły się ani o jotę. Społeczeństwo to stoi dziś niezawodnie wyżej pod względem realizacji niektórych zasad moralnych w życiu zbiorowem, ale zawdzięcza to dziewiętnastu wiekom oddziaływania moralności chrześcijańskiej. Pewne przepisy tej moralności, jak np. w sprawie odsetek od kapitału, zostały zarzucone w praktyce, jednak dowód pozostaje jeszcze do przeprowadzenia, że istotnie nie były one słuszne.

Ale przejdźmy do argumentów św. Tomasza. Cytuje on jako przykład wino. Jedyny możliwy użytek wina polega na jego wypiciu. „Przeto gdyby ktoś chciał sprzedać osobno wino, a osobno użytek tegoż wina“ — powiada św. Tomasz (*Sum. Th. 2,2 qu. LXXVIII*) — „sprzedałby dwukrotnie to samo, czyli sprzedałby to, czego niema, co stanowi oczywisty grzech przeciw sprawiedliwości. Analogicznie popełnia niesprawiedliwość ten, który pożycza wino, żądając podwójnego odszkodowania: jednego w formie zwrotu takiego samego wina, drugiego zaś w formie zapłaty za użycie (*usus*), która to zapłata nosi nazwę odsetek (*usura*)“. Znamy natomiast, zdaniem św. Tomasza, rzeczy, których używanie nie jest równoznaczne z ich zniszczeniem (wzgl. zużyciem). Taką rzeczą jest np. dom mieszkalny, którego celem jest używanie go stałe do celów mieszkalnych, a nie jednorazowe zużycie. Otóż wynajęcie domu, przy równoczesnem zachowaniu dla siebie jego własności, uważa św. Tomasz za rzecz godziwą.

Jeszcze jaśniej tłumaczy on swoją myśl na następującym przykładzie (*Sum Th. 2,2 qu LXXVIII*): „...główny sposób użycia srebrnych naczyń nie polega na ich zużyciu, przeto wolno godziwie sprzedać użytek tych naczyń, zachowując ich własność dla siebie. Głównym natomiast sposobem użycia srebrnych pieniędzy jest ich wydawanie, to znaczy ich wymiana na inne przedmioty; z tego względu nie godzi się sprzedawać ich użytku, żądając zarazem zwrotu całej sumy, którą się pożyczyło. Należy atoli mieć na uwadze, że drugim sposobem użycia srebrnych naczyń może być ich użycie do celów wymiennych; a takiego ich użytku nie godzi się sprzedawać. Analogicznie może być jakiś inny sposób użycia srebrnych monet, np. gdy ktoś wynajmie monety znaczone do celów ozdoby lub celem złożenia ich jako zastawu; tego zaś rodzaju użytek pieniądza wolno godziwie sprzedawać“.

Uważny czytelnik, niezrażony sofistyką scholastyczną św. Tomasza, wgłębi się w jego myśl i wywnioskuje, że św. Tomasz potępia odsetki od pożyczek przeznaczonych na cele konsumpcyjne, dopuszcza natomiast odszkodowanie za pożyczenie przedmiotów o przeznaczeniu trwałem. Mówiąc stylem współczesnym, **św. Tomasz potępia bezwzględnie kredyt konsumpcyjny**. Pierwszy wniosek zasadniczy, niezmiernie aktualny w epoce, w której problem kredytu konsumpcyjnego stoi na pierwszym planie dyskusji ekonomicznej. Większość ekonomistów, dopatrujących się jednej z głównych przyczyn obecnego kryzysu gospodarczego w przeroście kredytu konsumpcyjnego (np. sprzedaż na weksle i raty), stanie w tej sprawie zdecydowanie po stronie św. Tomasza. Przeciętny człowiek, laik zarówno w teologji jak i ekonomji, uważa również na chłopski rozum, że należy najpierw zarobić, a później kupić, i że wszelkie karkołomne sztuki kredytowe, doprowadzające ostatecznie do tego, iż większość ludzi pracujących jest zadłużona do wysokości jedno- lub dwurocznego swego dochodu, muszą wcześniej czy później doprowadzić do katastrofy gospodarczej.

Zgoda, że kredyt konsumpcyjny jest społecznie szkodliwy, powie czytelnik. Ale co to ma wspólnego z odsetkami od pożyczonych pieniędzy? Przecież przeważająca większość pożyczek idzie współcześnie na cele produkcyjne. Ustawodawca nie może się bawić w rozróżnianie, czy pożyczam komuś tysiąc złotych na zakup paru zbytecznych ubrań, czy też na zakup maszyny, którą będzie wyrabiał zysk, zawierający dochód dla niego i odsetki dla mnie. W średniowieczu większość pożyczek miała cele konsumpcyjne, i pieniądz istotnie służył przeważnie do wymiany. Ale dziś pieniądz jest kapitałem, a kapitał jest równoznaczny z narzędziem produkcji. Tego św. Tomasz nie przewidział, i z tego względu nie jest już obecnie aktualny.

Oddajemy znowu głos św. Tomaszowi. Niech się broni sam (*Sum. Th. 2,2 qu. LXXVIII*): „...pożyczający pieniądze przenosi posiadanie ich na tego, który od niego pożycza; przeto ten, któremu

---

[1]) Artykuł niniejszy zawiera urywki z książki p. t.: „Narodowy ustrój gospodarczy“, która się ukaże na jesieni b. r.

pieniądze pożyczono, posiada je na własne ryzyko, i zobowiązany jest oddać je w całości: stąd wniosek, że nie wolno wierzycielowi żądać więcej, niż pożyczył. Natomiast człowiek, który powierza swe pieniądze czy to kupcowi, czy wytwórcy w formie jakiegokolwiek rodzaju spółki, nie przenosi na tego kupca, czy wytwórcę posiadania swoich pieniędzy, przeciwnie, te pieniądze pozostają nadal jego własnością; skutkiem tego, kupiec handluje temi pieniędzmi na ryzyko ich właściciela, podobnież wytwórca na jego ryzyko używa tych pieniędzy do produkcji; wobec takiego stanu rzeczy wolno pożyczającemu godziwie domagać się części zysku, płynącego z danego przedsiębiorstwa, jako że zysk ten płynie z jego własności".

Przecieramy oczy ze zdumienia: czy te słowa wyszły z pod pióra teologa, czy ekonomisty? Forma jest może trochę scholastyczna, ale myśli nie powstydziby się sam Adam Smith.

O ile w poprzednio cytowanych ustępach wychodził św. Tomasz z chrześcijańskich pojęć sprawiedliwości i pracy, o tyle wprowadza obecnie do dyskusji pojęcie własności w rozumieniu chrześcijańskiem, i to w całej jego rozciągłości. Myśl katolicka przyznaje własności duże uprawnienia, ale tylko pod warunkiem nierozrywania węzłów osobistych, łączących właściciela z posiadanym przedmiotem. Jeśli te więzy rozrywam, ogłaszając zupełne *désintéressement* co do tego, co się będzie działo przez pewien czas z moją własnością, i przerzucając tchórzliwie całe ryzyko na cudze barki, nie wolno mi odebrać więcej, niż pożyczyłem. Jeśli natomiast wchodzę z moim kapitałem jako spólnik do cudzego przedsiębiorstwa, zachowuję nadal kontakt osobisty z moją własnością (a kontakt ten stanowi, w myśl ideologji chrześcijańskiej, rodzaj posłannictwa o charakterze moralno-społecznym), dzielę się ryzykiem, a więc mam prawo dzielić się i zyskami, mam pewność, że chodzi o produkcyjne użycie kapitału, a nie o konsumpcję (zgodnie z poprzednią tezą); a wreszcie, mając udziały w jakiemś przedsiębiorstwie, nie mogę zarabiać bez pracy, co stanowi poważny *puls* natury etycznej.

Ostatnie zdanie wygląda na paradoks. Jakto, zapyta czytelnik, czyż obcinanie kuponów od akcyj można nazwać pracą? Życie współczesne dało już dawno odpowiedź na to pytanie, i to w sensie św. Tomasza. Weźmy przykład z naszych polskich stosunków. Mamy przeważnie dwa rodzaje spółek: spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, oraz akcyjne. W spółkach z ogr. odp. każdy spólnik musi się z reguły zajmować aktywnie interesami przedsiębiorstwa, w przeciwnym bowiem razie nietylko nie widzi zysków, lecz traci to, co włożył. Historja stara jak świat, każdy z nas widział przykłady tej starej prawdy dokoła siebie.

A spółki akcyjne? Właściciel dużego pakietu akcyj musi się intensywnie zajmować danem przedsiębiorstwem, wchodzi do władz spółki i zabiega koło jej rozwoju. Jeśliby chciał spocząć na laurach i obcinać kupony, wyjdzie z torbami. Nie tłucze wprawdzie kamieni na drodze, ale spełnia pracę organizacyjną i kierowniczą, a to jest również pracą według pojęć chrześcijańskich. A drobny akcjonarjusz? Któż z nas nie zna typowego dobnego akcjonarjusza, który wyciąga smętnie z biurka stosy bezwartościowych akcyj i użala się, że go „wykiwano". Sam sobie winien, bo chciał zarabiać bez pracy. Kilka akcyj daje zysk nieduży, nie wymaga więc ciężkiej pracy, ale tego *minimum* zabiegów, które nazywamy chodzeniem koło własnych interesów. Drobny akcjonarjusz musi się interesować losami danego przedsiębiorstwa, popierać je, chodzić na walne zebrania i bronić się, by go nie oszukano. Jest to zarówno w jego własnym interesie, jak i w interesie przedsiębiorstwa. To stanowi jego pracę, i jeśli się od niej usuwa, sam sobie musi przypisać winę swoich strat.

Dochodzimy więc do sformułowania drugiej tezy: Kapitały nie powinny krążyć w życiu gospodarczem w formie pożyczek, lecz w formie udziałów.

Czy św. Tomasz żąda ustawowego zakazu pobierania odsetek?

Nie. Św. Tomasz zna lepiej od współczesnych doktrynerów naturę ludzką i mechanizm życia zbiorowego, i nie łudzi się co do skuteczności ustawowych zakazów. W najlepiej nawet zorganizowanem społeczeństwie zachodzić będą wypadki, że poszczególni ludzie przyciśnięci nędzą, chorobą, czy wyjątkową koniecznością, zmuszeni będą uciekać się do pożyczania. Nie zawsze znajdą człowieka o miłosiernem sercu, który im pożyczy, nie żądając procentu. „Człowiek nie zawsze obowiązany jest udzielić pożyczki" (oczywiście bezprocentowej, przyp. autora) — powiada św. Tomasz — „i z tego powodu udzielenie pożyczki zalicza się do rad... jak i miłowanie nieprzyjaciół jest ono radą..." (*S. Th. 2,2 qu. LXXVIII)*. Najgłębszych poświęceń, wymagających od człowieka prawdziwego heroizmu, nie można wymusić, można je tylko doradzić i stworzyć atmosferę przychylną ich realizacji. Natura ludzka jest ułomna, i grzesznicy zawsze się znajdą. Na tem powinna polegać różnica między państwem a Kościołem, że państwo wymusza siłą posłuch dla swoich ustaw, a Kościół daje wskazania moralne, rezygnując w niektórych sprawach nawet ze swej egzekutywy, której trybunałem jest konfesjonał. Dlatego też ustawy państwowe, jako bezwzględniejsze w działaniu od wskazań moralnych, nie mogą obejmować pewnych problemów, będących tylko wewnętrzną sprawą między człowiekiem, a jego sumieniem. „...Ustawy ludzkie" — pisze św. Tomasz — „nie przewidują kary za pewne grzechy, ze względu na niedoskonałość wrodzoną człowiekowi, z powodu której dużo korzyści by się traciło, gdyby ściśle zapobiegano wszystkim grzechom przy pomocy odpowiednich kar. Z tego też powodu prawo ludzkie pozwala na odsetki, nie jakoby uważało, że się sprawiedliwie należą, lecz by nie udaremnić korzyści możliwych dla wielu..." *(loc. cit.)* Nawet w ustroju gospodarczym, w którym ogół stosować się będzie do wskazań św. Tomasza, zachodzić będą nagłe konieczności gospodarcze, wymagające zaciągnięcia pożyczki oprocentowanej — „by nie udaremnić korzyści możliwych dla wielu". Dlatego zakaz pobierania odsetek musi pozostać w dziedzinie moralnej, a nie ustawodawczej, jak i nakaz umiłowania nieprzyjaciół. Ale jeśli ludzkość cała organizuje się podobno dla umiłowania nieprzyjaciół, tworząc w tym celu tysiące organizacyj z Ligą Narodów na czele, dlaczego nie miałaby się organizować, by zmniejszyć do *minimum* plagę lichwy i jej młodszych braci, odsetek? Tak, jak bezpieczeństwo życia stanowi miernik moralności publicznej, tak samo wysokość stopy procentowej stanowi pewnego

rodzaju termometr, wskazujący stopień nieprawości w ustroju gospodarczym.

Między niepobieraniem odsetek, a pobieraniem ich zawsze i wszędzie i w dowolnej wysokości, istnieją jeszcze różne możliwości pośrednie. Myśl św. Tomasza możnaby wyrazić w następującej formie: ustrój gospodarczy powinien być tak zorganizowany, by sprowadzić do *minimum* ilość wypadków, w których pożyczanie wzamian za odsetki staje się koniecznością.

A postęp techniczny, a dynamika życia gospodarczego? Jak mobilizować kapitały dla produkcji i wymiany? Na to św. Tomasz dał nam odpowiedź bardzo wyraźną. Nie kredyt, lecz osobisty udział w przedsiębiorstwie. Nie jest to żądanie pod żadnym względem rewolucyjne. W istocie sposób finansowania produkcji jest również jednym z mierników doskonałości ustroju gospodarczego. We Francji i w Anglji, ludzie, chcący uruchomić nowe przedsiębiorstwo, zakładają spółkę, spółka, chcąca powiększyć swą produkcję szuka nowych spólników lub wypuszcza nową emisję akcyj. Natomiast w Polsce od dłuższego czasu żadnych akcyj nie emitowano..., a przedsiębiorstwa powstają i rozwijają się głównie drogą pożyczania na warunkach lichwiarskich. Emisje akcyj nie są możliwe, gdyż na tym interesie nabrano już kogo się dało i zrażono gruntownie całe społeczeństwo.

Nawet lichwa stała się już u nas interesem wysoce niepewnym. Trzeba będzie niebawem posłuchać św. Tomasza...

ADAM DOBOSZYŃSKI

PRZEDWOJENNA INICJATYWA

(TKACKI PRZEMYSŁ LUDOWY NA KURPIACH)

PRZEMYSŁ maszynowy niemal zupełnie wyrugował pracę ręczną. Maszyna stała się jakimś bożkiem, a częstokroć bywa raczej Molochem, któremu składa się ofiary, złożone z istnień ludzkich. Ideałem stała się produkcja mechaniczna, tak zorganizowana, żeby pracę rąk ludzkich zredukować do *minimum.* Staje się to wyrazem postępu. Ale ludzkość, zahypnotyzowana przez wielkich kapitalistów, daje się oszukiwać i prędko zapomina, że żadna maszyna nie prześcignie ręki ludzkiej w artyzmie i doskonałości wykończenia. Nie sięgając do przykładów z dziedziny rzemiosł japońskich, wystarczy przypomnieć roboty kobiece, choćby koronki z Valenciennes, weneckie czy zakopiańskie, które są arcydziełami rękodzieła i — jak bardzo poszukiwane! Każdy, kto był w kościele Św. Krzyża w Warszawie, musiał dostrzec ową ozdobną kazalnicę z żelaza, wykutą w siedemnastym wieku przez kościelnego braciszka klasztornego. Są to rzeczy użytkowe, ale i piękne. A kto chce nabrać zupełnej odrazy do pracy mechanicznej, niech, obejrzawszy kamienicę książąt Mazowieckich na Starem Mieście, popatrzy na którąkolwiek z „seryjnie“ zdobionych, dzisiejszych kamienic czynszowych. Reakcja przeciwko wszechwładzy maszyny przyjść musi, bo jest konieczna.

Z wielkiem zainteresowaniem śledzę propagandę p. Zygm. Raczkowskiego, który w poniedziałkowych numerach „Gazety Warszawskiej“ prowadzi od pewnego czasu kampanję za rozwojem rzemiosł w Polsce. Ten ruch budzi się nietylko u nas; we Francji np. powstają specjalne publikacje, wychodzą książki, propagujące rozwój rzemiosł, a przecież Francja i tak słynie z tego, że kwitnie tam drobny przemysł i rękodzieło.

Myślę, że społeczeństwo powinno się szerzej zainteresować odrodzeniem rzemiosła. A jak piękne były na tem polu poczynania w b. Kongresówce, niech posłuży za przykład działalność dr. Józefa Psarskiego, który rozwinął w okolicach Ostrołęki tkacki przemysł ludowy.

Dr. Józef Psarski, działacz narodowy jeszcze za czasów studenckich, powróciwszy do kraju z wieloletniego wygnania, na którem przebywał w Rosji, osiadł w Ostrołęce, jako lekarz.

Obdarzony ogromnym instynktem społecznym i pełen entuzjazmu, zdaje się, że dziś równie świeżego, jak przed laty dwudziestu czy trzydziestu, dr. Psarski zabrał się z energją do działalności, która daleko wybiegała poza jego zainteresowania zawodowe. Założył więc w Ostrołęce kasę pożyczkowo-oszczędnościową i czytelnię, pracę oświatową na pow. ostrołęcki prowadził z ramienia organizacji narodowej. Dzielną na tem polu pomocnicę miał w swej małżonce, ś. p. Janinie, dziś już nie żyjącej, a mej serdecznej i niezapomnianej przyjaciółce. A dla współczesnego, powojennego pokolenia młodzieży warto zauważyć, że taka działalność oświatowa groziła paroletniem więzieniem, zwłaszcza, że dr. Psarski odcierpiał już dwukrotnie karę zesłania, więc był na tem polu recydywistą. Dr. Psarski wraz z żoną zorganizował nadto własnym kosztem zabawy dziecięce na wzór warszawskich ogródków Raua, a w tym celu p. Janina przechodziła w Warszawie odpowiedni kurs instruktorski.

Byłam właśnie na uroczystości otwarcia tych zabaw w Ostrołęce, i o tej akcji społecznej pisałam swego czasu w „Świecie kobiecym“, redagowanym przez p. Karczewską. Dzieci, wałęsające się po ulicach lub podwórzach, znalazły oto miejsce wspólnych zabaw i godziwej rozrywki. Te dzieci ulicy uspołeczniały się, a nie tylko dzieci, lecz i panie ostrołęckie, które dały się chętnie wciągnąć do tej wspólnej akcji społecznej.

To też dziś z przykrością i goryczą patrzy się na usiłowania, mające na celu zniszczenie inicjatywy i pracy społecznej na rzecz biurokratycznej machiny. Tej pracy, która była prowadzona w najcięższych czasach niewoli.

Ale najwybitniejszą działalnością d-ra Psarskiego, niestrudzonego pracownika na niwie społecznej, było zorganizowanie ludowego przemysłu tkackiego.

Plan był obmyślony w ten sposób, że Kasa pożyczkowo-oszczędnościowa dawała podstawę finansową dla całej akcji. Dzięki pomocy dr. Karola Benni'ego, który stał na czele instytucji przemysłu ludowego w Warszawie, sprowadzono warsztaty tkackie z Anglji, wełnę przerabiano i farbowano

na miejscu, poczem na warsztatach wyrabiano samodziały. Po pewnym czasie produkowano je w dużej ilości.

Owe samodziały, wyrabiane przez pracowity lud kurpiowski, były prześliczne. Nie ustępowały materjałom angielskim, tak były gustowne, a trwałością przewyższały wszystkie materjały fabryczne. Mój kostjum i garnitur męża podziwiali znajomi, nie chcąc wierzyć, że to samodział. Imponował miękkością, wzorzystością, wykończeniem. Jedną miały tylko wadę — były nie do zdarcia!

Ów tkacki przemysł ludowy na Kurpiach rozwijał się bardzo pięknie. Otworzono nawet sklep przy ul. Brackiej, do którego miały być dostarczane owe materjały do rozprzedaży.

Aliści, mniej więcej na jakiś rok przed wojną, dr. Karol Benni, nie wiem z jakiego powodu, wycofał owe doskonałe warsztaty tkackie, które, zdaje się, nie były wypłacone, tylko wzięte na kredyt. Szczegółów w tej sprawie mógłby udzielić dr. Psarski, inicjator i dzielny kierownik tej akcji rękodzielniczej. Trzeba więc było przerwać, niestety, tę produkcję, tak ładnie zaczętą i tak pożyteczną.

Wybuch wojny wyrwał dr. Psarskich z Ostrołęckiego osiedla, rzuciwszy ich w głąb Rosji. Sama wojna zniszczyła kraj. W Polsce niepodległej zainteresowania przemysłowe poszły w innym kierunku. Zaczęto z państwowych funduszów popierać wielki przemysł, często nam wrogi, bo obcy narodowo. Ale to nas nie zbawiło.

A ponieważ coraz szerzej zaczyna się krzewić przekonanie o konieczności odrodzenia jak najszerszego naszych rzemiosł, które w Polsce nietylko dawnej, ale i przedwojennej mają kartę chlubną, sądziłam, że warto było przypomnieć poczynania na terenie tkackiego przemysłu ludowego na Kurpiach, zapowiadające piękne nadzieje. Jestem przekonana, że wyroby naszego przemysłu ludowego miałyby zbyt nietylko w kraju, ale znalazłyby chętnych nabywców i zagranicą. Chętniej, niż wyroby fabryczne. I pomimo kryzysu. Właśnie dlatego, że rękodzieła.

ZOFJA WOLERTOWA

JÓZEF SZUJSKI

(1835 — 1883) [1])

LAT temu siedemdziesiąt, dokładniej: w marcu 1863 r. do wsi Goszczy w pow. miechowskim, pełnej zbrojnego ludu, wjechał z chrzęstem wóz, z którego wysiadło dwóch ludzi: jeden dwudziestopięcioletni, niski, wątły, o marzycielskich oczach, trochę garbatym nosie i artystycznie kędzierzawych włosach; drugi, starszy o lat trzy, wysoki, smukły, trochę uroczysty i dystyngowany, o spojrzeniu głęboko myślącem. Pierwszy patrzał wokoło ze smętnem rozczarowaniem, drugi wprost nie mógł oderwać oczu od polskiego dyktatora, który mu się wydał uosobieniem stanowczości, spokoju, kordjalnej prostoty. To Jan Matejko i Józef Szujski przywieźli Langiewiczowi z polecenia Krakowskiej „Ławy“ transport karabinów. Wspólne umiłowanie sprawy rzuciło ich w ten odmęt bujnych nadziei i rychłych, strasznych rozczarowań.

W sześć lat potem dziwna, przejmująca scena rozgrywa się w nawie południowej Wawelu. Oto jak ją widział z odległości jednego pokolenia Wyspiański. Korowód poważnych, żałobnych postaci przyszedł obejrzeć i przełożyć na nowe miejsce spoczynku szczątki ostatniego króla Piasta. Z tych uczestników obchodu jeden

...był mały, jako ludzie ciałem drobni
i przygarbiony nie wiekiem lecz pracą:
był z tych, którzy są Aniołom podobni,
których żywoty wiele wykołacą...
do pocałunku głowę chylił w długich lokach,
z oczu mu gorzał żar — taki w prorokach“.

Wtem do zamkniętej już nowej trumny przypada „mąż nagły“, wołając:

„Ja spóźniony!“
„O królu wieków pięciu latmi wielki
Już eś ty dla mnie zakowan, zamkniony,
iż cię nie ujrzą wzroki... zawstydzony...
dławił w sobie ten płacz, szukał duszą,
oczami, które deski trumien kruszą.
Taka w nich siła duchowa zbudzona
iskrami cisnąc do grobu przypadła,
jak błyskawica biegająć szalona,
stapiała prochów męt i treść ich jadła
żarem paląca płomiennego łona,
aż króla mnie pod drzewem tem odgadła.
Więc padł na ziemię krzyżem i zaszlochał
a groby wkoło widziały, że kochał“.

Tamtym szczęśliwym, co oglądał relikwje, był w wizji Wyspiańskiego Matejko, tym co się rzekomo spóźnił (bo badania prowadził już po uroczystości), ale króla z prochów przez drzewo trumny odgadł — profesor Szujski. Wspólna ich pochyliła miłość nad grobem Kazimierza Wielkiego. Obaj, jak kapłani, strzegli dziejowej arki przymierza między staremi i nowemi laty, tylko że jeden wskrzeszał barwy i kształty, drugi przenikał trumny błyskawicą rozumu i sumienia. Współżyli, współpracowali długo. Malarz dwa razy utrwalił nam oblicze historyka: raz jako Opalińskiego, wychowawcę Zygmunta Augusta na „Hołdzie pruskim“, drugi raz na znakomitym portrecie pośmiertnym.

Dziś nazwisko Matejki przemawia do miljona Polaków ze wszystkich jego dzieł i arcydzieł. O Szujskim wiedzą tylko dziesiątki tysięcy, a najważniejszą prawdę wiedzą o nim — nieliczni. Tak się fatalnie złożyło, że po pogrzebie profesora, rektora, generalnego sekretarza Akademji, posła, członka Izby Panów, bliscy i dalecy, bez względu na różnice przekonań oddali hołd jego obywatelskiej i naukowej wielkości, niektórzy uczynili to z czcią bezgraniczną i w wyrazach niemal przesadnych, wydano zbiór jego pism, ale nikt nie poświęcił mu należnego życiorysu, gorzej, pozwolono wichrom roznosić jego papiery po świecie. Godzi się, w Polskiem Towarzystwie Historycznem uczcić pamięć „hetmana historyków“, ale uczcić ją nie gołosłownym, choćby najpiękniejszym dytyrambem, lecz tak, jakby on sam to uznał za przystojne, pilnem wniknięciem w ducha i owoce jego pracy.

[1]) Przemówienie wygłoszone w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego na obchodzie, poświęconym pamięci Szujskiego. Staraniem Krak. Oddziału Pol. Tow. Historycznego.

* * *

Łudzi się ten, kto żąda z Leopoldem Rankem, aby historyk gasił w sobie swoje ja. Można i trzeba, opowiadając dzieje, usuwać w cień swoją osobę, sprawdzać swoje wyniki według zdobyczy współtowarzyszów, ale ostatecznie, jak słusznie sprostował Simmel, jedynem narzędziem do poznania innych osobowości, jedynym aparatem transmisyjnym między badaną przeszłością i poznającą teraźniejszością jest osobowość badacza, której część stanowi intelekt, a której nie zastąpi największa erudycja.

Nie zrozumiemy też nigdy, jak mógł trzydziestoletni Szujski stworzyć bez oparcia o poprzedników naukowy całokształt Dziejów Polski, jeżeli nie spytamy, skąd on zawczasu wziął to bogactwo duszy, jakiem ożywił szczupły, wówczas dostępny materjał źródłowy. Oczywiście, nie wziął go ani z c. k. gimnazjum w Tarnowie, ani z seminarjów, bo ich nie prowadzono, ani nawet z sal wykładowych U. Jag., gdzie funkcję Lelewela spełniał zaustrjaczony, nieudolny Antoni Walewski, a inne nauki humanistyczne czy umiejętności prawne wykładali urzędnicy, przeważnie obcego pochodzenia, miernych zdolności, biurokratycznych skłonności.

Na indywidualność kulturalną Szujskiego składały się: najpierw wielka poezja romantyczna, w osobach zwłaszcza Krasińskiego i Ujejskiego zamalgamowana z wykształceniem klasycznem, potem Kraków, z Wawelem jako polskim Westminsterem, ten smutny i ubogi Kraków ery przedkonstytucyjnej, jak go opisał Kalinka; wreszcie — własna samowiedza Szujskiego, który, prześcignąwszy w szkole zdolnościami niemal wszystkich kolegów—uwierzył w wielkie swoje życiowe powołanie, czuł bowiem—według słów Tarnowskiego — „tę śmiałość i rzutkość, ten heroiczny popęd, który mu kazał brać i rwać się do wszystkiego, nie przez zuchwalstwo i mniemanie, że on wszystko potrafi — przez uczucie obowiązku, że kiedy rzecz jest potrzebna i powinna być zrobioną, a kto inny jej nie robi, to ja spróbuję".

Zdawało mu się zrazu, że Polska wciąż jeszcze potrzebuje więcej poezji. Obdarzony od lat szkolnych wybitnym talentem rymotwórczym, żywą wyobraźnią i gorącem sercem, wiedział, że nie dorówna Mickiewiczowi w epopei ani Krasińskiemu w liryce, ale odczuwał brak dramatu, zwłaszcza historycznego. Schodziło z widowni pokolenie listopadowe, romantyczne; Kongresówkę po Sewastopolu, Galicję w przeddzień Magenty przenikały drgnienia nowych wysiłków ku poprawie narodowego bytu; czemużby nie miał on, student filozofji i prawa, stać się jeżeli nie Sofoklesem, to Prynichosem albo Tespisem młodego pokolenia, powołanego do nowych, może szczęśliwszych czynów. Wczytuje się więc w źródła i tworzy jedne po drugich dramaty — niektóre grywane później na scenach, z treści jednak wszystkich snadnie przekonać się można, że poezja bywa historyczną podobnie jak historja — dramatyczną, ale właściwy żywioł musi pracować na właściwem miejscu. W dramatach Szujskiego, gdzie walczą prawdy dziejowe, a nie namiętność wiecznego człowieka w dziejowej szacie — nie zawiódł wprawdzie talent, ale historyzm okiełznał Pegaza wyobraźni.

A może uda się usłużyć lepiej sprawie narodowej piórem publicysty? Powstają więc w r. 1860 „Portrety przez Nie Van Dycka", najśmielsza przed Wyspiańskim próba charakterystyki różnych polskich słabości, tych samych dziś, co przed wiekami.

Im dalsze „portrety", im bliższy kryzys w życiu politycznem Polski, tem mniej zastrzeżeń, a więcej szukania drogowskazów. A oto jak się skrystalizował obywatel Szujski, w co wierzył i co głosił, zanim się jeszcze zetknął z Mannem, Helclem, Popielem. „Synteza narodowa, spójność sił wszystkich ku narodowym celom, działalność potężna przeciw nieprzyjacielskim żywiołom, oto jest wyraźna cecha dzisiejszej dziejowej chwili naszej. Wobec tego dążenia powinna zaniemieć każda wewnętrzna namiętność, każda burza socjalna... Rozprzestrzenić tę łączność wbrew wszelkim przeszkodom, rozwielmożnić się moralnie w starych naszej narodowości granicach: oto jest kwestja najpierwsza, kwestja życia i odrodzenia".

„Ruch narodowy powinien iść ciągle naprzód, potężnieć. Ku temu należy zwracać wszystkie siły. Tylko to potężnienie może zapewnić rozwój i skutek skąpo wyzyskanym korzyściom obecnego stanu. Dzielność narodu jest najlepszą gwarancją jego losu".

„Jawność i wolność są to owe cudowne słowa, które przeszkadzają wszelkiej szkodliwości stronnictw". „Radykalizm narodowy" „jest alfą i omegą naszego moralnego kodeksu". „Najfałszywszym środkiem jedności jest negacja stronnictw... jest to zdmuchanie dwóch świec... w celu, aby się równo paliły. Zgasną i ciemność nastąpi"...

Nagle z pod pióra tego dramaturga, krytyka, wyznawcy, kaznodziei wychodzi tom I „Dziejów Polski", po nim iść miały dalsze w odstępach rocznych. Tom III opóźniony „z przyczyn łatwych do wyrozumienia": „w czasach, gdy się historja robi, pisanie jej nieprzełamanym moralnym ulega trudnościom". Istotnie autor wtedy właśnie próbował „robić" dzieje—w obozie Langiewicza. Ale i czwarty, potężny tom (1866) znowu spóźnił się w terminie o rok jeden, co wolno tłumaczyć przyczyną dwojaką: po pierwsze, tu dopiero, od wygaśnięcia Wazów, zaczyna się epoka, nietknięta w całości przez żadnego polskiego historyka, powtóre, na tle przeżyć z doby powstańczej, wiele poglądów, będących w obiegu, wypadło poddać rewizji.

Imponujące to dzieło, wspaniały czyn naukowy, kulturalny, społeczno-polityczny. Tak bez żadnych próbek seminaryjnych, dokończyć budowy, której ledwo 1/3 część przygotował wspierany po królewsku Niemcewicz, a którą w opacznem, doktrynerskiem ujęciu kontynuował Moraczewski, przebić się w ciągu 2 lat przez wzrastającą literaturę obcą i przez nieznane źródła krajowe do epoki Sasów i rozbiorów, a przytem dokonać tego o własnych siłach, bez oparcia o żadne szkice historyczne, o katedrę lub choćby o docenturę, mógł tylko taki siłacz jak Szujski. Trud był tem większy, że połączony z bolesną rewizją ustalonych jeszcze od czasów Lelewela dogmatów „demokratycznych". Taki Henryk Schmidt, historyk zmarły również pięćdziesiąt lat temu (1883), nie bez zasług, ale stanowczo bez talentu, wówczas prawowierny chwalca ideologji demokratyczno-szlacheckiej, zarzucił „Dziejom" tendencję monarchistyczną, przekręcania faktów i deklamatorstwo. Szujski odpowiedział: „o ile jestem deklamatorem, osądzi czytelnik w stosunku do nagromadzonych w dziele faktów i dat historycznych do ustępów, przeznaczonych do objęcia całości i charakterystyki okresów". Rzeczywiście zebrał ścisłych, pewnych faktów i dat bez liku, co się zaś tyczy tendencji, to jedyną zgóry przyjętą myślą

„Dziejów“ były słowa Krasińskiego, umieszczone jako *motto*: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“. Od III tomu zaczęło się pilne sprawdzanie, czy Polacy z dobrodziejstw Opatrzności umieli korzystać, czy nie grzeszyli wobec samych siebie brakiem dobrej i rozumnej woli. Z powodu Batorego „z wszelką skromnością“ pytał obrońców Lelewela, czy zamiar podniesienia monarszej władzy w XVI wieku mógł się zwać „niewczesnym, czy republikański porządek był porządkiem i gwarantował całość i dzielność Polski“? Ktokolwiek przeczyta ten ustęp bez uprzedzeń, przyznać musi, że tylko bardzo doktrynerskie głowy mogły ganić Batoremu walkę z nierządem (bo walk z porządnym sejmem on nie prowadził). Że w tomie IV o naprawie Rzplitej mowa jest często i coraz częściej, to rzecz naturalna. Ale Szujski nigdzie ani nie wywyższa państwa ponad naród, ani mu nie każe rozwijać się w sprzeczności z ideałem moralnym narodu. Państwowość i cywilizacja to dwa najwyższe dobra równorzędne, to też żadna, nawet najszczytniejsza idea nie usprawiedliwi zaniedbania „pewnych warunków ładu, sprawiedliwości na wewnątrz, a potęgi na zewnątrz“.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

O PORTRET POETY

DO GORLIWYCH badaczy pism C. Norwida należy Zygmunt Falkowski. W r. b. ogłosił drugie wydanie książki p. t. „Rzecz o tragiźmie „Kleopatry“ Norwida“, a wnet potem monografję p. t. „Cyprjan Norwid. Portret ogólny“ (Warszawa, 1933, „Bibljoteka Tygodnika Ilustr.“). Prof. Stanisław Pigoń w poprzedzającej książkę przedmowie daje atestację pochlebną jego zdolnościom i wiedzy, nie wypowiada jednak swego sądu, czy próba portretu udała się autorowi. Pozostawia to swobodę wyrażenia opinji innym, których zdanie prof. Pigonia mogłoby krępować.

Falkowski należy do grupy norwidzistów wileńskich, wespół z Wł. Arcimowiczem i Stan. Cywińskim, jako inicjatorem badań i kierownikiem. Donosiliśmy przed paru tygodniami, że Cywiński wygłosił na uniwersytecie wileńskim 136 wykładów o Norwidzie. Nie sposób, by Falkowski nie był pod jego wpływem. W uzupełnieniu Warszawy, która zajmuje się estetyczną wartością dzieł Norwida (Miriam, Zrębowicz), szkoła wileńska stosuje do niego metodę filologiczną, kładąc szczególny nacisk na filozofję poety.

Pierwszym warunkiem dobrej roboty monograficznej jest zebranie kompletnego materjału — tekstów i przyczynków — trzeba mieć wszystko pod ręką, co kiedykolwiek o autorze pisano. Falkowski to wszystko ma pod ręką. Studja nad Norwidem znajdują się właśnie w fazie przyczynkowej. Nikt dotąd nie zrobił monografji. Młodego filologa, który się oczytał „materjału“, korci chętka spróbowania, czy uda się z tych rozproszonych szczegółów złożyć jakąś całość, którąby się dało jednym tchem opowiedzieć. Przecież można się pokusić o wykonanie portretu z mozajki: pracowicie z pewną chronologją zestawiać kamyczki — musi wyniknąć z tego portret — „portret ogólny“.

Co to jest portret ogólny: ogólnikowy, czy może całkowity? Mniejsza o przymiotnik, przedewszystkiem: czy to jest p o r t r e t? To, co wykonał p. Falkowski, nie jest portretem, lecz opowieścią o życiu i pracy Norwida. I taką opowieść możnaby nazwać portretem, gdyby autor, stawiając rzecz na gruncie biografji, wyobraził sobie Norwida realnie i dbał o takie scharakteryzowanie osoby, iżby czytelnik twarz poety widział. W portrecie biograficznym obowiązuje jedność osoby. Trzeba ją widzieć w życiowym toku spraw i w utworach. Stąd konieczność metody psychologicznej. Falkowski osobistości nie ustalił, a zestawiając materjał biograficzny, nie wnikał w to, że są to notaty obserwacyjne, z różnych punktów w rozmaitej intencji robione, sprzeczne, rzucające na postać światło z różnych stron. Trzeba było te kawałki w mozajce szlifować, zamazywać, wiele przemilczeć, wiele dobarwić. W rezultacie otrzymaliśmy zbiór uporządkowanych dat, ale życie i dzieła pozostały w dawnej do siebie równoległości, nie wyjaśniając się wzajemnie.

Falkowski wyszedł z błędnego założenia, żeby wizerunek jego w niczem nie przeczył Norwidowej legendzie w wersji „Chimery“. Jest prawomyślnym tej nauki wyznawcą, ortodoksem wiary w nadprzyrodzone źródła natchnień Norwida. Wszelki realizm uważany jest w tej szkole za świętokradztwo. Dotyczy to nietylko ducha, ale i życia osobistego Norwida. Cudowność dzieł jego przeniesiono na osobę. Falkowski i temu uległ. Norwidowi nie wypada przypisywać np. pochodzenia normalnego, z jakiejś szlachty zwyczajnej; kolekcjonerzy przyczynków, nie poddawanych krytyce, dochodzą mimowoli do mitologicznych koncepcyj w rodzaju legendy o Orfeuszu. Norwid według nich nie mógł pochodzić ze środowiska zwykłych śmiertelników; pochodził oczywiście z „karmazynów“ bardzo możnych, krew jego była książęca, ba — nawet królewska. Inaczej nie wolno o Norwidzie myśleć. Jakto — powiedzą — przecież sam Norwid pisał o sobie w jednym z listów: „Do kogoś z dziadów Matki mojej powiedziano było kiedyś: Ratuj Wiedeń i chrześcijaństwo, — ale czy to już kogo dziś obchodzi?“ Przecież to autobiografja — materjał najbardziej autentyczny.

Był też męczennikiem. Jak Orfeusza, gdy się znalazł wśród lodów Tracji, zamordowały Menady, tak i jego życie było męką z powodu zadawanych mu tortur. W „Chimerze“ w r. 1908 zaczęto tworzyć legendę w ten sposób, że Norwid opuścił Warszawę z powodu krzywd, jakich doznawał od społeczeństwa...

U Falkowskiego owa nić karmazynowa i błękitna przewija się przez całą książkę.

„Dziecię Mazowsza, syn dobrej ziemiańskiej rodziny, gdzieś tam po kądzieli spowinowacony z Janem Sobieskim, przyniósł ze sobą na świat wrodzoną pańskość i wykwint światowy. Miał to niejako we krwi, a jeszcze bardziej rozwinął, chowając się po zgonie rodziców w domu swej babki, Hilarji z Sobieskich, wielce pieczołowitej o królewskie rodowody“ (str. 23).

Oto wszystko, co na początku życiorysu o środowisku Norwida p. Falkowski podał. Nawet nazwiska babki (Zdzieborska), nawet ojca i matki nie wymienił, aby nie zasłaniać widoku króla.

I to typowe dla tej szkoły. Autor, przyparty do muru, wyznałby, że poza nazwiskiem nie było tam nic królewskiego, żadnego śladu krwi króla (małoż to Sobieskich!). Ale nie wypada wyłamywać się z legendy—to ładnie brzmi. Potem: autor nie ma na to danych, że p. Hilarja Zdzieborska na skromnej sadybie pod Otwockiem pielęgnowała te tradycje. Wyhodował je sam Cyprjan, gdy pracował w Heroldji—to pewniejsza. Czy można jednak pomijać ojca i matkę, gdy mowa o schedzie naturalnej dziecka? To, że Norwid nie wspomniał nigdy o ojcu, więcej znaczyło w dziejach jego serca, niż to, że nadrabiał pozę Sobieskim.

Prof. Cywiński artykuł swój w „ABC" (nr. 171) „O pochodzeniu Norwidów" rozpoczyna od słów: „Z pasją godną lepszej sprawy dwaj naraz pisarze, Zygmunt Wasilewski („Gaz. Warsz." nr. 153) i Józef M. Chudek („ABC", nr. 164) zakwestjonowali szereg faktów z biografji Norwida".

Nie wiem, co pisał p. Chudek, co do mnie zaś, pisząc o Norwidzie w „Gaz. Warsz." w rocznicę jego śmierci, radziłem odrzucić legendowe akcesorja, stosowane do jego życiorysów, a to dlatego, żeby nareszcie zacząć mówić o tym poecie, jako o człowieku, który żył naprawdę, jak inni jego współcześni. Więc nie mówić o jego włościach, kiedy był ubogi, jak mysz kościelna, nie mówić o królewskiem jego pochodzeniu, kiedy o bezpośredniem dziedzictwie niema się nic dobrego do powiedzenia... We mnie to budzi niesmak. Bo gdy człowiek miał od dzieciństwa dramat rodzinny, gdy się o tem wie i nie bada się, czem obciążony był chłopiec po ojcu fizycznie i psychicznie, to wtedy wywijanie przed oczyma herbem Sobieskich po babce w linji żeńskiej wydaje mi się—ze stanowiska obowiązku dziejopisarskiego—czemś niepoważnem.

Wdzięczny jestem prof. Cywińskiemu, że usiłuje wniknąć w moją psychikę, ale bynajmniej nie „pasja" wchodzi tu w grę, lecz poczucie prawdy, a tego poczucia nie można odkładać do „lepszej sprawy". Każda jej wymaga.

Należałoby raczej zbadać, czy ten kurs wysokiego rodu, jaki sobie nadawał sam Norwid, nie był reakcją na przykrą rzeczywistość, którą pragnął zasłonić. I to idzie wtedy na jego *plus*. Pod wpływem wielkich idej budziła się w młodem pokoleniu tęsknota do życia górnego; młodzieńczy Norwid potrzebę tę pojął po swojemu. Ale ten swój arystokratyzm złączył ze sposobem swego myślenia w twórczości poetyckiej. W sposobie pisania był też arystokratą. Przetwarzanie świata zaczął od siebie; tworzył z siebie nowy model człowieka, niepodobny do tego, co miał w najbliższem środowisku.

Wiele się mówi o upadku społeczeństwa w niewoli. Ówczesne pokolenie poetów czuło ten upadek. Tem się tłumaczy „cygański" obyczaj jednych, zalewających robaka, a u drugich potrzeba odrywania się od świata według haseł filozofji idealistycznej.

Dramat Norwida zaczyna się od urodzenia. Prawdy tej nie zasłonimy, mianując ojca kawalerem multańskim, a pokrywając milczeniem, że był urzędnikiem policyjnym, zasłużonym w oczach rządu rosyjskiego tem, że wyławiał „bandytów" (uczestników powstania), że co miał, to stracił, że ożeniwszy się (po raz trzeci) z panną Zdzieborską nie mógł dzieciom wychowania zapewnić i że nie zostawił im dobrej pamięci po sobie. Cóż z tego, że przodkowie mieli dobra ziemskie? Czy ich nie mieli dawniej Cywińscy albo Wasilewscy? Nie będziemy przecież wstydzić się swego proletarjactwa. Nic to nie zaszkodziło Kasprowiczowi, że mu w biografjach, nawet za jego życia, przypominaliśmy, iż w dzieciństwie pasał gęsi. Tem większa wartość ducha, że z nizin się odbił.

Nie jest to ani pasja, ani pedanterja, jest to raczej zatarg dwóch metod traktowania dzieła sztuki. Krytyk, zadowalający się dogmatem estetycznym lub poszukujący w dziele prawdy objektywnej, może się ograniczyć tekstami, biografja nie jest mu potrzebna, twórcę może puścić w legendę. Ale kto zadanie krytyka widzi w doszukiwaniu się prawdy subjektywnej (a to jest właściwy teren sztuki), temu potrzebna jest znajomość subjektu tworzącego. To zaś jest konkret psychologiczny i ten musi być prawdziwie widziany, bo jest jedynym punktem orjentacyjnym dla krytyka.

Właściwej krytyce literackiej nie może zależeć na legendzie. Ona chce widzieć twórcę konkretnie i w należytej perspektywie, a to wymaga ustalenia poglądu historycznego na epokę. Norwid, widziany przez p. Falkowskiego i jego szkołę, nie chce się mieścić w ramy historyczne, autorowie więc radzą sobie w ten sposób, że na ten użytek dopasowują perspektywę do jednostki. Żeby wykazać jej wartość, przeszacowują ustalone już wartości dokoła.

P. Falkowski miał pewno i ma szacunek dla emigracji polskiej XIX w. Cenił wraz z całym narodem, jej poezję, jej charakter polityczny i patrjotyczny. Teraz na użytek doraźny Norwida z niej szydzi. Oto przykład. Pochwały cudzoziemców dla Norwida, jako malarza (*nb.* fikcyjne) — według p. Falkowskiego „osładzały mu kwaśną niechęć rodaków, czy też ich zupełną niezdolność pojmowania czegokolwiek, prócz gawędziarsko-bigosowej polskości, rozckliwionej po zaściankowemu. Słowem Dante wygrany na fujarce" (str. 71). Norwid może był dobrym malarzem, może słusznie zestawiał się z Michałem Aniołem, ale żeby tego dowieść nie trzeba tracić serca dla rodaków. I wogóle, żeby komuś nimbem głowę otoczyć, nie trzeba zdejmować nimbu z głowy cudzej. Tymczasem wprowadził tę metodę Miriam jeszcze w „Chimerze", że dla wywyższenia Norwida ścina się głowy współczesnym, kwestjonuje się nietylko ich rozsądek, ale uczciwość. Takich właśnie naciągań perspektywy w książce p. Falkowskiego wiele. Nie jest znowu tak pełno w naszej Walhalli, żeby takie operacje były konieczne. Wszyscy się zmieszczą, jeno trzeba znaleźć miarę rzeczy odpowiednią metodą.

Z powodu tego braku metody, wiele jest zgadywania w rozbiorach literackich. Choćby taki z brzegu przykład: treść ideową „Promethidiona" Norwid wywiózł gotową z Warszawy. P. Falkowski przypisuje ją temu, że Norwid wczytał się w Platona... (s. 57). Zapewne, Platona odszukać można na spodzie nurtu filozofji idealistycznej, współczesnej Norwidowi, ale ten nie do źródła chodził, lecz czerpał z literatury warszawskiej jego Platonami byli Dembowski, Libelt. „Promethidion"—to wezbrane we wspomnieniach fale warszawskich przeżyć filozoficznych.

Książka o Norwidzie Falkowskiego jest owocem głębokiego pietyzmu dla poety, ma przytem wybitne zalety literackie. Może się przyczynić do spopularyzowania dotychczasowej wiedzy o Norwidzie, ale tej wiedzy nie posuwa naprzód.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NA WIDOWNI

Emancypacja od... feminizmu.

ROZPOCZYNA się nakoniec ruch emancypacyjny wśród kobiet. Zwłaszcza w najmłodszem pokoleniu kobiecem warstwy oświeconej, budzi się dziś świadome i zorganizowane dążenie do wyzwolenia się z powstałej od lat kilkudziesięciu, niewolniczej już całkiem zależności od mężczyzn, jaka nosi nazwę — feminizmu. Świadczy o tem interesująca polemika w prasie, prowadzona obecnie przez przedstawicielki dawniejszej i nowszej generacji świata kobiecego u nas[1]).

Czemże bowiem, w istocie swojej, jest zależność? W zakresie psychiki, więc w zakresie wszelkiej właściwie twórczości, znaczy ona mniej więcej to samo, co naśladownictwo. Tak rozumie się np. wyrażenie o „zależności“ wielu współczesnych pejzażystów naszych od Stanisławskiego, którzy dotychczas rzadko patrzą na krajobraz polski inaczej, aniżeli przez okulary swego mistrza. Kiedy naśladownictwo staje się bezkrytyczne, bezmyślne, połączone z zatratą osobowości własnej, tudzież zupełnem już powtarzaniem danego wzoru, określa się je jako najgorszą odmianę uzależnienia — niewolniczość. W myśl doktryn feministycznych, kobieta upodobnić się miała do mężczyzny jaknajdokładniej i jaknajwszechstronniej: pod względem stanowiska politycznego i prawnego, pracy zarobkowej i rozrywki, zwyczaju i obyczaju. Nigdy bodaj bardziej i pod każdym względem nie imponował mężczyzna kobietom, aniżeli w epoce feminizmu, nigdy usilniej nie starały się go one naśladować we wszelkich dostępnych dziedzinach.

Kim zaś był mężczyzna w tej dobie, stawiany przez feminizm jako model, który miały kopjować kobiety? Nie był to czas rycerzy albo mnichów, epoka była pozytywizmu, a jej przedstawicielem najbardziej typowym: inżynier, organizator życia gospodarczego, pionier postępu technicznego, przedsiębiorca. Do dziś jeszcze „kobieta-inżynier“ pozostała, zdaje się, najwyższym ideałem feministki (przykładem charakterystycznym tych poglądów, z całą ich, staroświecką już obecnie prostodusznością, jest m. i. wydana w ostatnich czasach drukiem sztuka p. Morozowicz-Szczepkowskiej p.t. „Sprawa Moniki“).

Trzeba przyznać, że dla organizującego się wtedy industrjalizmu, pojawienie się takich idej właśnie stało się niemałem udogodnieniem, a szerzenie ich — trudem, wartym zachodów i nakładów. Związki wolnomularskie, zaś pod ich wpływem ugrupowania „radykalne“, „postępowe“, socjalistyczne posłuszne wypełniły przypadające na nie zadanie propagandowe. Hasło „pracy zawodowej kobiet“, jako warunku ich „godności ludzkiej“ i „niezależności“, przynosiło światu wielkokapitalistycznemu widoczne i wielkie korzyści, w znacznym stopniu ułatwiało mu urzeczywistnianie jego planów.

Przedewszystkiem zwiększała się podaż na rynku pracy, co umacniało położenie przedsiębiorcy i pozwalało mu na obniżenie płaconego wynagrodzenia. W przemyśle, w handlu, w biurach wszelkiego rodzaju stanęły do współzawodnictwa z mężczyznami rzesze pracownic (w rolnictwie, odwieczny podział zajęć między mężczyzną i kobietą nie uległ, oczywiście, większej zmianie), a w związku z tem, zwłaszcza na niższych i najniższych stanowiskach, wzrosło niezmiernie uzależnienie funkcjonarjusza od pracodawcy, co ten ostatni umiał zazwyczaj jaknajpełniej w swoim interesie wyzyskać.

Powtóre, ustalenie poglądu, że kobieta winna sama pracą zawodową zapewnić sobie utrzymanie, prowadziło do zasadniczej zmiany pojęcia „*minimum* egzystencji“, jako podstawy określania słusznej wysokości zarobku, w zależności od „potrzeb stanu“ poszczególnych klas i zawodów. Już nie „*minimum* egzystencji“ r o d z i n y zaczęto brać w tym wypadku w rachubę i uznawać za obowiązujące, ale „*minimum* egzystencji“ j e d n o s t k i. Zaczęto za naturalne uważać takie stosunki rodzinne, gdzie mąż i żona zosobna zarabiają na życie, oboje zajmują np. posady, gdyż ten stan rzeczy umożliwia im dopiero utrzymanie budżetu domowego na niezbędnym poziomie.

Nakoniec — i to także nie było bez znaczenia — rozbicie życia domowego przez pracę zawodową kobiet dawało przedsiębiorczości kapitalistycznej nowe tereny ekspansji, nowe możliwości dochodów. Skoro żona zarabia poza domem, przemysł musi ułatwić jej przyrządzenie posiłku dla najbliższych przez wszelkiego rodzaju: „zupy w tabliczkach“, „budynie w proszkach“, „mięso w konserwach“, „jarzyny w puszkach“ itp. Mnożą się i prosperują, na Zachodzie zwłaszcza, na wielką skalę organizowane jadłodajnie „dla rodzin“, radykalnie już rozwiązując całą sprawę przez zastąpienie własnego stołu — salą restauracyjną. W dziale odzieży, której nie miałby kto naprawiać, wytwarza się masowo tandetę, której naprawiać nie warto, przez co zwiększa się ruch w życiu gospodarczem, obrót w przemyśle i handlu i wzrastają związane z tem zyski. Ideał „pracy zawodowej kobiet“ nie jest nawet pozbawiony pierwiastka tkliwości: zabrawszy dzieciom matkę do biura lub fabryki, daje im żłobek, z „fachowo wykwalifikowaną“ ochroniarką, o wydajności stu serc matczynych jednocześnie (jakież to racjonalne i oszczędne!).

U nas specjalnie, hasła i teorje feministyczne, były raczej naśladownictwem poprostu, importem ideologicznym z zagranicy, niż wyrazem rzeczywistego układu sił i stosunków. Dzisiaj, w dobie olbrzymiego kryzysu, gdy bankrutuje autorytet owego świata, i owego sposobu myślenia, z którego zrodził się, między innemi, feminizm, nic dziwnego, że w młodszem zwłaszcza pokoleniu kobiet rozpoczyna się emancypacja z pod jego suggestji, że budzi się chęć „myślenia własną głową“, samodzielnie, krytycznego rozpatrzenia rozmaitych doktryn, które w ciągu ostatnich lat dziesiątków uznawano za nienaruszalny kanon „postępu“.

Znika suggestja materjalistycznego sposobu myślenia i coraz zrozumialsze się staje, że trzysta gmachów, zbudowanych przez „kobietę-inżyniera“, mniej poważnem jest w gruncie rzeczy zadaniem, niż straszliwa odpowiedzialność za los jednej duszy, jednego charakteru dziecięcego, oddanego w dłonie macierzyńskie. A zdrowy rozsądek nasunie takie nawet spostrzeżenia, iż więcej indywidualności, więcej twórczości własnej, oryginalnej okazać może kobieta, kiedy szyje sukienkę dla swego dziecka, aniżeli wystukując w biurze na maszynie dyktowane przez zwierzchnika listy czy okólniki.

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) W szczególności artykuły pp. Izy Moszczeńskiej i Zofji Zaleskiej po jednej, zaś pp. M. Rzętkowskiej i M. Suchenianówny po drugiej stronie (w „Kurjerze Warszawskim“, w ankiecie „Młodzi o sobie“ w „ABC“ i t. d.).

GŁOSY

KAŻDEMU NIEZALEŻNIE OD PRZEKONAŃ POLITYCZNYCH, ciśnie się dziś na myśl porównanie sytuacji żydów w Niemczech i w Polsce. Kontrast ten jest dziś najciekawszem *curiosum* na widowni międzynarodowej. Krajem tak interesującym stała się Polska niewątpliwie wbrew woli czynników „sanacyjnych". Od chwili przewrotu majowego czynniki te sporo energji łożyły w to, aby uwagę społeczeństwa odciągnąć od kwestji żydowskiej. Próbowano zbałamucić opinję hasłem „państwowem". Niema żydów, są tylko „obywatele". Niema narodu, jest „państwo". Przy pomocy tej „ideologji", akcję narodową, dążącą do odżydzenia kraju, próbowano pospolicie wystawić, jako antypaństwową. Jest antypaństwowcem, kto różnicę czynić chce między obywatelami... Jakim antypaństwowcem, przez akcję przeciwżydowską, okazał się w Niemczech kanclerz Hitler! Doprawdy, antypaństwowy okazał się w Niemczech cały rząd *in corpore*. Wypadki ośmieszyły głupstwo skuteczniej od wszelkiej argumentacji. Lecz powyższe nawiasowo tylko notujemy. Chodzi nam w tej chwili o coś innego. Oficjalna polityka polska zmierzała do tego, aby zanegować wogóle istnienie kwestji żydowskiej w Polsce, aby przekonać świat, że nietylko niema zajątrzenia, czy zaognienia, lecz wogóle niema żadnej „kwestji". Jakieś obmyślanie jej „rozwiązania" byłoby niepotrzebną stratą czasu. Jaką w życiu kraju zajmą pozycję wiadomi „obywatele" (a przeważnie lojalni współpracownicy Bezpartyjnego Bloku) — to ich rzecz. Rząd do tego się nie miesza, nie przygotowuje żadnej polityki, żadnych rozstrzygnięć w tej mierze. Jest zatem — *status quo*.. znakomicie odpowiadający gustom sfer „sanacyjnych". Nic się nie robiło, nie było o czem mówić; wprawdzie obowiązywał traktat o mniejszościach, narzucony Polsce za sprawą żydów, — ale chodziło głównie o to, aby jaknajrzadziej Polskę w związku z kwestją żydowską wogóle wzmiankowano. Przyszedł przewrót hitlerowski. Z zadziwiającą stanowczością młody ruch narodowy w Niemczech po swojemu jął się żydowskiego problemu. Bezczynność, która cechowała politykę polską w stosunku do żydów, nagle ukazała się światu, jako coś wysoce oryginalnego. Polska przedstawiła się w prawdziwej swej roli, jako kraj, gdzie żyd znajduje lepsze niż gdzieindziej warunki, *paradisus Judaeorum*. Reputację kraju pogromów straciła zupełnie. Ba! gdzież te odległe czasy Konferencji Pokojowej... Niewątpliwie kierownikom polityki polskiej z różnych względów przyjemnie było wystąpić w charakterze opiekunów i orędowników narodu Izraela; ale nie była to z pewnością przyjemność niezmącona. Niepokojące musiało to być zwłaszcza ze względu na opinję narodową w kraju. Okazało się, że kwestja żydowska jest, że w rzeczywistości „sanacja" politykę swą w tej kwestji ma, i to wyraźną; że polega ona na podtrzymywaniu tej nienaturalnej pozycji, jaką żydzi w życiu kraju dziś zajmują; i że nikt inny z pośród rdzennych mieszkańców kraju nie chce dłużej widzieć Polski w tej roli cieplarnianego rezerwatu dla obcych.

ŻYDZI MAJĄ NADZWYCZAJNY TALENT DO URZĄDZANIA WSZELAKICH MASKARAD. W ten sposób łatwiej im uprawiać różne oszukańcze machinacje. Ulubiony ich proceder, to podszywanie się pod obce firmy i przybieranie pseudonimów o polskich końcówkach. Potem zaś dla nieobeznanego trudno jest zorjentować się, jakiego pochodzenia właściwie jest np. poeta Napierski czy nawet Leszek Majewski albo krytyk Leon Pomirowski. Jeszcze przed przewrotem Hitlera, coraz energiczniej żądano w Niemczech, aby żydom nie wolno było używać pseudonimów niemieckich, wprowadzających w błąd czytelników. I słusznie, bo to jest podszywanie się pod obcą firmę. Jeżeli sygnuje się, na zasadzie ochrony prawa własności, towary „*Made in Germany*", dla czego nie mamy oznaczać ich słowem IZRAEL? Po co podszywać pod inną firmę? Zwłaszcza jeżeli sprawa dotyczy utworów literackich. Kiedyż nareszcie różni żydzi przestaną w Polsce tumanić czytelników swemi pseudonimami, które są niczem innem tylko fałszywą firmą. Żydki polskie w Belgji sprawiły, że dzieci belgijskie w szkołach, na pytanie katechety, kto ukrzyżował Chrystusa, odpowiadają: „Polacy", oczem donosi korespondent „Kurjera Warszawskiego", dn. 25 czerwca r. b.

RÓWNIE NIEBEZPIECZNA JEST ANONIMOWOŚĆ. która żydzi uprawiają w rozmaitych swoich procederach. We Francji istnieje prawo, że każda firma wydawnicza obowiązana jest podać na karcie tytułowej książki swej adres i dokładne nazwisko właściciela firmy. U nas rejestracja firm ma pod tym względem braki, z których żydzi skwapliwie korzystają. Mnożą się różne wydawnictwa anonimowe, w gruncie rzeczy żydowskie, zatruwające społeczeństwo. Jeżeli czytelnik bierze do ręki książkę, o której wie, że napisał ją żyd, a wydała księgarnia żydowska, to odpowiednio się do książki ustosunkuje, podczas kiedy może być łatwo chwycony na wędkę anonimowem wydawnictwem i pseudonimem żydowskiego autora. Osławieni już bracia Erdtrachtowie, o których Nowaczyński w sądzie zeznawał, że to są „piraci", to międzynarodowe żydy, które miały centralę wypadową w Wiedniu, a w Stanisławowie ekspozyturę na Polskę.

Pod firmą „*Renaissance*" zalewano nas literaturą niemiecko-żydowską w lichych przekładach, przeważnie żydowskich tłumaczy, „Rój", to wydawnictwo żydowskie, podobnież nowopowstały „Zdrój". Także „Wydawnictwo Nowoczesne", należące do Winawera, które krzewi literaturę komunistyczną. Firma księgarska „Bibljon", wydająca dzieła Trockiego i o Trockim należy do żyda Fruchtmana, który teraz właśnie wydał książkę skompromitowanego procesem o konfidencję L. Kulczyckiego: „W poszukiwaniu nowego ustroju społecznego". Wydawnictwo „Płomień" jest w rękach żyda Nussbauma, anonimowe wydawnictwo „Panteon", także żydowskie. Biorąc książkę, do ręki, należy mieć na uwadze, kto ją wydał. Jeżeli firma żydowska, albo anonimowa, co każe przypuszczać, że najprawdopodobniej jest to też żydowskie wydawnictwo, wtedy należy być ostrożnym, zwłaszcza gdy autorzy nieznani lub ukryci pod pseudonimami, boć i zagranicą żydzi uprawiają tę maskaradę.

Do jakiego stopnia żydzi, po usadowieniu się w literaturze, opanowali placówki wydawnicze, świad-

czy fakt, że kierownikiem literackim usanowanej firmy „Gebethner i Wolff“, został p. Wat, oczywiście żyd, zamieszany w aferę z komunistycznym „Miesięcznikiem Literackim“, wydawanym w Warszawie, potem we Lwowie. Wat jest bratem aktorki Chwatówny, występującej na scenie pod nazwiskiem Broniszówny. Pożądane by było, aby wzorem zagranicy większe domy wydawnicze ogłaszały nazwiska swoich kierowników literackich, zamiast chować je wstydliwie w cieniu tajemnicy. Literatura w rękach żydwskich, księgarnie nakładowe i wydawnictwa też w rękach żydowskich, to już za duże opanowanie produkcji umysłowej przez żydów w Polsce, to zanadto ważna sprawa, aby przejść nad nią do porządku dziennego.

PEN-KLUBY w coraz większym stopniu stają się zbiorem anomalij. Przyjęło się, że do PEN-klubu należą u nas tylko pisarze pewnej orjentacji kulturalnej, sympatycy ideologji „międzynarodowej“. Nie wszędzie tak jest. W Niemczech np. panuje pogląd inny: uważa się, że PEN-klub powinien reprezentować ideologję urzędową: *credo* narodowo-socjalistyczne. Tak przynajmniej pokazało się na ostatnim zjeździe. A zatem jedne PEN-kluby wyznają ideologję — „penklubową“, inne — narodową. Razem tworzą zrzeszenie sprzeczności, skompletowane według różnych zasad doboru. W Polsce sprawa komplikuje się jeszcze obłudą. Grupie literatów z Polski na zjazdach PEN-klubów przewodzi zazwyczaj publicysta „Gazety Polskiej“, J. Kaden-Bandrowski, nielada specjalista. W kraju walczy jako sanator przeciwko cywilizacji rzymskiej, w Berlinie zaleca nas, jako „Rzymian Wschodu“, na miejscu pochwala „silną rękę“, na eksport — podpisuje memorjały, żądające lepszego traktowania więźniów politycznych w Europie. Fotografja w „Wiadomościach Literackich“ (Nr. 28) ukazuje nam w różnym procencie semickie oblicza dwu głównych delegatów polskich: J. Kadena Bandrowskiego i Emila Breitera, którzy wzięli udział w tegorocznym zjeździe PEN-klubów w Dubrowniku. W tymże n-rze znajdujemy reportaż J. Parandowskiego, informujący o przebiegu zjazdu, a pośrednio o nastrojach i taktyce polskiej delegacji. Sam skład nie predestynował jej snadź do odegrania większej roli na kongresie, z tego choćby powodu — że nie bardzo zrozumiała, co się dzieje. Przewodniczącym PEN-klubów, po śmierci Galsworthy'ego, został H. G. Wells, nie władający potocznie językiem francuskim. Parandowski, najwykształceńszy niewątpliwie z trójki wymienionych delegatów, próbował zrozumieć przemówienie inauguracyjne Wellsa, ale dał za wygraną. „Mówi (Wells) zabawnym, ściszonym piskiem, który angielskim dźwiękom odbiera wszelką nośność, trzeba wielkiego wysiłku, aby zrozumieć, a gdy się zrozumie, widać, że nie warto było się natężać“. Tymczasem przewodniczący, we własnem mniemaniu, wziął nowy zupełnie ton ideowy i wygłaszał przemowienie, mające być początkiem zasadniczej przemiany w pracy PEN-klubów. Galsworthy i jako literat, i jako działacz, mało miał w sobie z propagandysty i agitatora; Wells, pozbawiony magnetyzmu osobistego przy oddziaływaniu na tłumy (przepadł dwukrotnie przy wyborach do parlamentu angielskiego), bezwzględnie szczerze zato oddany swoim ideom, skorzystał z pierwszej sposobności orędownictwa publicznego w międzynarodowem gronie literatów i dziennikarzy. „Niestety“ — wyraził się później — „piękne przemówienie moje zostało dla świata stracone“. Z pośród obecnych tylko coś pięćdziesięciu mówiło po angielsku, a nikt z reporterów nie władał też dobrze tym językiem. Wyjaśnił to Wells później w wywiadzie, udzielonym korespondentowi „*Observer*'a“. Zarazem podał streszczenie swego przemówienia, chcąc, ile można, ocalić zeń myśli dla świata. Stąd wiemy, że wmawiał, iż PEN-kluby stoją przed wyborem: lojalność dla Państwa Światowego, albo stary patrjotyzm. Idea Państwa Światowego kłóci się dziś z ideałem dyscypliny, zdrowym w zasadzie, ale wypaczonym przez to, że w praktyce pojmuje się go dziś, jako dyscyplinę narodową. „Wydaje mi się“—konkludował Wells — „że czas już, aby nasze zrzeszenie zdecydowało się, jaką iść drogą: czy przyjąć za podstawową zasadę organizacyjną lojalność dla Rzeczypospolitej Światowej, czy też tylko dostarczać okazji spotkania różnym ciasnym i nietolerancyjnym kultom..., czy opowiadamy się za reakcją, czy służyć chcemy dobru świata“. Myśli te, ocalone szczęśliwie w „*Observer*'ze“, całkiem bagatelne wydały się delegacji polskiej, która nawet w kraju nie zareferowała o nowej orjentacji ideowej, propagowanej przez przewodniczącego i inspiratora PEN-klubów. Być może, iż na Kadenie (jeśli rozumiał, o co chodzi), powyższe zagadnienia ideowe nie robiły żadnego wrażenia: nietrudno zostać kosmopolitą wellsowskim w Dubrowniku, a powrócić nacjonalistą sanacyjnym do Warszawy. Nie wiemy, jak zasadniczo i serjo traktował te sprawy Breiter. Parandowski uważał, że natężać się nie warto, aby zrozumieć. W rezultacie rozmaici członkowie kongresu wynieśli całkiem różne wrażenia. „Tegoroczny zjazd PEN-klubów w Dubrowniku“ — pisał rzeczowy korespondent „*Observer*'a“—„był prawdopodobnie najowocniejszym... dzięki kierownictwu ideowemu przewodniczącego, p. Wellsa, wywiązała się poważnie pojęta dyskusja ideowa“. Jakoś całą tę stronę ideową PEN-klubów, istotnie interesującą, delegaci polscy dziwnie przegapili.

NAUKA I LITERATURA

Z WĘDRÓWKI PO ROSJI PROLETARJACKIEJ

MŁODY, śmiały i umiejący sobie radzić w trudnych warunkach turysta, p. Aleksander Janta - Połczyński, odbywszy niedawno dość ryzykowną podróż w głąb dawnego państwa Rosyjskiego (Z. S. S. R.) opowiada nam dzisiaj w interesującej, żywo pisanej książce („W głąb Z. S. S. R.“... Z Uralu przez Azję Środkową i Kaukaz na Ukrainę. Tow. wydawnicze „Rój“, Warszawa 1933 r., str. 253), co tam widział i jakich wrażeń doznał.

Na olbrzymiej przestrzeni (Moskwa—Ural—Taszkient—Samarkanda — Buchara — Baku — Tyflis — Odesa — Kijów — Charków), po której wlokły go nieśpieszące się pociągi sowieckie, spostrzegł autor, co zresztą nie było trudno, wszędzie jedno i to samo, mianowicie: głód, brud, pluskwy, nieład, ogonki, przeludnienie miast, opłakane środki komunikacji i t. p. Z tem wszystkiem spotykał się wędrowiec po Rosji i za carskich czasów, nie w takich jednak przerażających rozmiarach, jak dzisiaj.

Zauważył nadto nasz turysta, że w kraju urzędowej równości oraz sprawiedliwości, jednej dla wszystkich, panują porządki i zwyczaje, które były plagą Rosji carskiej, nie występowały jednak tak bezczelnie, jak obecnie.

Poszukując dla siebie w jednem z miast miejsca w hotelu, opowiada np. o trudnościach, z jakiemi tu się spotyka „przeciętny obywatel“. „Uprawia się“—powiada autor—„system drobnych protekcyjek, obserwować go można w całej podróży. Ci, którzy nie mają sposobów i sposobików, którzy nie mają b u m a g ani znajomości, mogą nocować na placu przed dworcem, mogą czekać równie cierpliwie jak bezskutecznie

Ułatwienia w każdym kierunku zdobywa się dopiero przez interwencję czy pomoc władzy, niezawsze oficjalnej, raczej tej zakulisowej, przypartyjnej, z odcieniem wojskowym czy gepistowskim, przed którą drżą czasem i z którą naprawdę się liczą prowincjonalni kacykowie wszystkich gatunków"...

Na każdym kroku autor ma sposobność przekonać się— i to często na własnej skórze — że w Rosji proletarjackiej istnieje, tak samo jak w krajach „burżuazyjnych", liczna klasa uprzywilejowanych, którym dostają się najsmaczniejsze kąski i najwygodniejsze miejsca, podczas gdy „przeciętny obywatel" przymiera z głodu, bądź dusi się w ciasnocie i zaduchu.

Mówiąc o porządku „ogonkowym" np., robi następującą uwagę: „Tworzy się tutaj zjawisko charakterystyczne dla Rosji: ci z prawem „bez kolejki" tworzą kolejkę osobną. Zwykły, przeciętny obywatel traci w ten sposób wszelkie szanse".

Ale ten zwykły obywatel jest cierpliwy, pogodzony z tego rodzaju sprawiedliwością proletarjacką, czeka więc z wiarą, że lepsze czasy nastaną i dla niego. A o tych lepszych czasach prawi mu wciąż umiejętnie zorganizowana propaganda sowiecka, prawi mu o cudach, które się dzieją w państwie proletarjackiem, o takich cudach, które uszczęśliwią wszystkich. Dwa tego rodzaju „cuda", o których głośno w świecie, mianowicie wysokie piece „Magnitogorska" oraz tamę „Dnieprostroju" i to wszystko, co się dokonywa na tych dwu- magicznych punktach państwa sowieckiego — oglądał autor zblizka, podziwiał nowoczesność amerykańską urządzeń, stwierdzając jednocześnie, że organizacja tych kolosalnych przedsięwzięć sowieckich mało ma wspólnego z Ameryką. Ładu tu niema — jak zresztą wszędzie w państwie proletarjackiem — ale jest zato rozmach i ten właśnie budzi różowe nadzieje w masach i utrzymuje wolę w niesłabnącem napięciu.

Książka p. A. Janty - Połczyńskiego, ze względu na obfitość trafnych spostrzeżeń i uwag, dotyczących kraju, w którym dokonywają się przemiany społeczne, budzące powszechne zainteresowanie, zarówno jak i ze względu na barwność opisów w niej zawartych — zasługuje na uważne przeczytanie, autorowi zaś należy się uznanie za podjęcie niemałych trudów w celu jej napisania.

W. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ze szkiców, ogłoszonych w „Myśli Narodowej" w r. 1931 (n-ry 41 i 42), w r. 1932 (n-ry 16 i 26), oraz w r. 1933 (nr. 18 i 21) p. Marjan Kazimierz Morawski, znany zaszczytnie historyk, sporządził książkę p. t. „Kraków przed 30 laty". Jest to odbitka z naszego pisma. Okładkę przedwcześnie wydrukowano z datą 1932, tymczasem zakończenie nastąpiło dopiero w r. b.; datę trzeba odpowiednio skorygować (r. 1933).

Wspomnienia Morawskiego złożyły się na całość bardzo interesującą i sympatyczną. Odnajdujemy w nich polski Kraków, całkiem odmienny od Krakowa, widzianego z knajpy przez arlekinów z Zielonego Balonika.

*

Ukazały się „Wspomnienia Puławskie", wyd. Stow. Wychowańców byłego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach, pod redakcją Tadeusza Chwaliboga. (Warszawa 1933 r. str. 166.) Pięknie wydana książka, ozdobiona licznemi ilustracjami, zawiera wspomnienia b. wychowańców Instytutu w Puławach, odtwarzające życie szeregu pokoleń, kształcących się tam, oraz dzieje samego zakładu naukowego, w różnych okresach, przez jakie przechodził

*

„Niemcy à la minute" — zbiór fejletonów Zygmunta Nowakowskiego z „I. K. C." (Gebethner i Wolff 1933), to, zdaje się, największy i najdoskonalszy istniejący zbiór komunałów o Hitlerze i hitlerowskich Niemczech. Metoda Nowakowskiego jest jakby metodą samego Hitlera — mówcy, cytowaną przez autora w jednym z rozdziałów — staje się on niby anteną myśli, a raczej wrażeń i mniemań tłumu i podaje je następnie temu tłumowi w suggestywnej i pięknej formie. Znajdujemy tu wszelkie kalmunje, anegdoty, złośliwości, jakie krążą o Hitlerze wśród t. zw. „szerokiej publiczności", czytającej „Ilustrowanego Kurjerka" krakowskiego, puszczane przez żydowskich informatorów. Bardzo charakterystyczne są zdania, jakie znajdujemy na str. 115: „Hitler pozbawiony jest pierwiastka humoru. Nienawidzi żydowskiego humoru, żydowskiej prasy" etc. Jak również i delikatnie podane podejrzenie co do pochodzenia rasowego matki obecnego kanclerza. Książkę cechuje zadziwiający wprost brak własnej myśli i głębszej refleksji wogóle. Autor, napompowany ponuremi legendami o Hitlerze, pojechał na pole bitwy, aby w każdym fakcie, jakiego był świadkiem, ujrzeć potwierdzenie tych legend — nie chcę mówić: „aby oglądać fakty, które mogłyby potwierdzić owe legendy", najjaskrawszych bowiem faktów sam nie był świadkiem. Postawa ta przypomina postawę reportera, wysłanego jako sprawozdawca z trzęsienia ziemi. Żadnych wniosków, żadnych refleksyj — poza stwierdzeniem, że dzieją się rzeczy straszne i przypuszczeniem, że to pewnie niedługo się skończy. Biją, barbarzyństwo, akty gwałtu... to wszystko, co autor zdołał zauważyć. Kapitalne znaczenie polityczne, dziejowe tego, co się rozgrywa pod naszym bokiem, nie przychodzi poprostu na myśl. Jak trzęsienie ziemi... „Niewiadomo, skąd się wzięło, nic na to nie poradzimy—jakie to jednak straszne"! Następują jedyne autentyczne momenty książki: opisy ulic po przewrocie, pochodów hitlerowskich, podane suggestywnie z dużym kunsztem, stylem wykwintnym i nieskazitelnym, łatwym i lekkim, tak, że książkę bez większej irytacji można prędko przeczytać do końca. Niezbyt miłe są tylko warjacje na temat: „jak ja się wzruszam", przybierające często ton patrjotyczny. Rozczulanie się nad rogatywkami i tkliwe sceny z polskim policjantem są mało subtelne i swą fałszywą nutą przypominają tani sentymentalizm niektórych autorów czasów niewoli. Mocno skrystalizowanem uczuciem, jakie, wyniósł autor z Niemiec, jest strach. I dlatego zakończenie, będące radosnem westchnieniem ulgi na myśl o dobrej armji polskiej, wygląda szczerze. Ten szczery moment jest może najwartościowszy w całej książce. To proste uczucie nie jest takie naiwne i nie pozbawione jest głębszego znaczenia. (A. M.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

POWSTAŁO nowe stowarzyszenie artystyczne, pod nazwą: „Grupa plastyków nowoczesnych". Należą doń: Strzemiński, Stażewski, Czyżewski, Stanisław i Zygmunt Grabowscy, Kryński, Hiller, Chwistek, Łunkiewiczowa, Schulz, Katarzyna Kobro, Rafałowski i Witkowski. Zorganizowani malarze urządzili swoją wystawę w IPSie.

Jak widać z przytoczonych nazwisk, mamy przeważnie do czynienia ze starymi znajomymi. Ci starzy znajomi pragną nas teraz przekonać, że przyszłość jedynie do nich należy i oni wyłącznie są uprawnieni i powołani do tworzenia wizji nowoczesnej świata (w plastyce). Tak przynajmniej zapewnia wstęp do katalogu, chociaż byłoby słuszniej, by nas o tem upewniały obrazy. A obrazy są bardzo różne i, pomijając poziom, trudno sobie na ich podstawie urobić pojęcie o jakiejkolwiek jednolitej ideologji artystycznej grupy.

Nie zważając na bardziej subtelne odchylenia różnic między poszczególnemi jednostkami, można grupę podzielić na dwa zasadnicze typy artystów. Jednych znamionuje wyraźne, zmysłowe niemal, poczucie malarskości obrazu — dobrym przedstawicielem tego typu jest Stanisław Grabowski, drudzy mogą być nazwani logistykami malarstwa (tu należy przedewszystkiem wymienić Stażewskiego i Strzemińskiego).

Ci zwolennicy abstrakcji w malarstwie sztalugowem przed innymi pragną nadawać grupie ton i tromtadracki manifest-wstęp do katalogu ma być, w głównej mierze, ich wyznaniem wiary. Zatrzymajmy na chwilę uwagę na obrazach tej właśnie kategorji. Wyobrażają one, zestrojony w pewien sens kompozycyjny, zespół najprostszych, niemal geometrycznych płaszczyzn, zabarwionych na całej przestrzeni jednolicie, zwykle barwami zasadniczemi, lub też jeszcze prościej: gładką, jednobarwną płaszczyznę, o powierzchni muru, jakiejś niby plecionki, kreskowaną, centkowaną itp.

Autorzy podobnych wyczynów twierdzą, że takie to, a takie zestawienia, o tych, a nie innych sposobach fakturowego traktowania płaszczyzny,

dają ten, a nie inny efekt. Ani chybi. Któż temu zaprzecza? 2 + 2 = 4, istnieje mnóstwo formułek o podobnej oczywistości, ale trudno zrozumieć, dlaczego szereg przepisów na zestawienia, jakie mogą mieć miejsce w malarstwie (i zdarzały się w niem od początku świata) mamy uważać za samą sztukę, w dodatku nowoczesną? Abstrakcja na miejscu jest w sztuce użytkowej, bo tam rzeczywistością staje się sam jej przedmiot i on też zaspokaja nasz głód konkretności, nie uciekając się do naśladowania świata widzialnego.

Zrozumieli to chyba w swoim czasie członkowie grupy „Blok“, gdy przeszli do innej: „*Praesens*“, zwracając swoje usiłowania w kierunku zagadnień współczesnego budownictwa. A teraz znowu częstują nas odgrzewanemi kotletami, z 1908-ego roku, i robią przytem minę, jakby podawali nową strawę, w dodatku własnego (?!) pomysłu. Trzeba mieć więcej poczucia komizmu, moi panowie...

Ramole rozmaitych „najnowszych“ „izmów“, przeżuwacze odpadków ze wszystkich śmietników artystycznych Europy mienią się być przedstawicielami polskiej (?) współczesnej sztuki. Tu trzeba zwrócić uwagę, że im formy są prostsze, niezłożone, tem bardziej, z natury rzeczy, stanowią własność międzynarodową. Pewne formy elementarne ornamentyki zdobniczej (np. koło, trójkąt) można spotkać w sztuce ludów, które nigdy w ciągu wieków nie miały możności porozumienia się z sobą. Malarz, uzmysłowiając plastycznie jakąś treść, ujawnia swój do niej stosunek, a tem samem objawia siebie. Im bardziej temat jest rozwinięty, tem większa okazja do objawienia siebie pełniej, bogaciej, odrębniej. Sposobów widzenia kwadratu nie może być wiele, natomiast twarzy ludzkiej, np. — mnóstwo. Dlatego też malarstwo abstrakcyjne nigdy nie stanie się terenem, na którym możnaby wykazać dobitniej własną odrębność narodową. O tem pamiętać warto, gdy się chce używać przymiotnika „polskie“.

Na zakończenie kilka słów o poszczególnych wystawcach. Utalentowany malarz, Stanisław Grabowski, zamiast dopracowywać się własnej wizji, woli imitować z dużą zręcznością rozmaite sławy malarstwa paryskiego. To samo, w większym stopniu i z mniejszym talentem, robi Zygmunt Grabowski. Rafałowski przejął się wystawą sowiecką i dał szereg płócien na temat: praca i robotnicy. Kryński ma parę wcale niezłych kompozycyjek. Wreszcie Schulz, autor inteligentnych martwych-natur, przeprowadził w nich szereg efektów fakturowych i zróżniczkował je, pod względem walorowo-barwnym, nazbyt już może, jak na malarstwo (stalugowe), krańcowo. Poszukiwania Schulza obracają się w dziedzinie zagadnień formalnych. Niestety, wielu malarzom dziś to całkowicie wystarcza.

Sporo obrazów posiada zalety kolorystyczne.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

MIŁOŚĆ PO WĘGIERSKU

NIEMAŁY to zaszczyt dla komedji węgierskiej Władysława Fodora, że ją wystawił pierwszy teatr dramatyczny w Polsce — teatr Narodowy, źrenica w oku polskiej kultury. Tytuł komedji (w 8 odsłonach) „Pocałunek przed lustrem“, a rzecz dzieje się napewno w Wiedniu, bo tam jest i Luna-park i takie nazwiska niemieckie, i takie obyczaje. Sztuka wystawiona niezawodnie gwoli aktualności, bo właśnie rozeszła się wieść o marjażu Austrji z Budapesztem. *Tu, Austria, nube!* Nie wiadomo, czy uda się opiekunom przywrócić ten związek, już raz zerwany, ile że obecny kochanek Austrji, Hitler też obiecuje *Anschluss.*

To pewna, że Węgier Fodor nie bardzo zachęca do do małżeństwa. Toż Węgry, jak widać z jego sztuki, obchodzą się tak z żonami, że tam żadna nie jest wierna mężowi, o tem wiedzą mężowie od samego ślubu i poprostu polują na nie po cudzych domach, po luna-parkach i strzelają je, jak łanie. Nie kochanków, ale żony. Chyba, że który nie ma przy sobie rewolweru, to wtedy robi na nią zasadzkę, depcze, jak ścierkę, węgierskiemi buciskami i wyrzuca z domu.

Sądy przysięgłych jednogłośnie uwalniają myśliwych od winy i kary, choćby dlatego, że czy sędzia, czy adwokat— każdy ma w domu żonę, którą już upolował *in flagranti*, lub jutro upoluje.

Mają taki sposób myśliwski, że podpatrują żony swoje, gdy te się ubierają przed lustrem. Mąż ma właśnie iść na wykład, jeśli jest profesorem, albo do sądu, jeśli jest adwokatem; żona maluje się, kładzie ładną bieliznę, suknię, kapelusz i wychodzi. Mąż w te pędy za nią: ona taksówką, on taksówką. Wślizguje się do domu schadzki, czeka aż żona zacznie się rozbierać, wtedy strzela... Ma w głowie telefon prokuratora, dzwoni: zabiłem — powiada. Widzieliśmy potem trybunał na scenie. Sąd nie wiele się namyśla, a w czasie czytania wyroku adwokat w sąsiednim pokoju morduje swoją żonę, która zupełnie tak samo przed lustrem się ubrała wczoraj i pojechała na randkę. Nie zmieściłoby się to w 8 odsłonach, więc autor nie pokazał nam, w jaki sposób prokurator poluje na żonę.

Ale bo też te miłostki po węgiersku! Niby to samo, co w sztukach francuskich, a jednak taka zachodzi różnica, jak między szampanem a węgierskiem. O miłości pobocznej tam nie ma nawet pomyślenia, tam kochankowie nie mają w sztuce nic do gadania, nawet się ich nie nazywa. Jakiś „nieznajomy“ i basta. Kobiety latają do nich jak na zabieg. To też kochanków się nie strzela.

Mężczyźni — jołopi jeden w drugiego. Wyjątek stanowi pomocnik adwokata Schurz, ale ten przez 8 odsłon jest stale pijany. Mądrość swoją i cnotę przypisuje śliwowicy, którą nosi przy sobie. Zdaje się jednak, że tę postać autor wsadził do sztuki jako reklamę dla tego węgierskiego napoju, dawniej tak słynnego; teraz każdy kraj pije swoją śliwowicę niegorszą.

To też w Polsce, gdzie związki płci legitymują się miłością, a własna śliwowica jest dobra, sztuka Fodora wygląda jak zabłąkana. Może podobałaby się w tym lub innym kraju Małej Ententy, może w Bułgarji...

Grano sztukę — owszem. P. Brydziński był dobrym adwokatem. Ale różnica wieku z żoną wydawała się tak znaczna, że rozumieliśmy w duszy p. Gorczyńską, iż szukała innych „*anschluss*’ów“. To też dobrze, że jej nie zastrzelił, jeno ją wypuścił na ulicę.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Mickiewicz Adam. Dzieła wszystkie. Zebrane i opracowane staraniem Komitetu redakcyjnego. Warszawa 1933. Nakładem Skarbu Rzplitej Polskiej. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego.

Tom V. Pisma prozaiczne polskie. Cz. I. S. 472.

Tom XI. Przemówienia. S. 544.

Tom XVI. Rozmowy. S. 560.

Petrescu Cezar. Ciemność. Powieść. Przeł. Stan. Łukasik. 2 tomy. Kraków 1933. Wyd. Liter.-naukowe.

Mauriac Fr. Rodzina Frontenac. Powieść. Warszawa. 1933. Płomień.

OFENSYWA

TRAGEDJA NIEJAKIEGO COSSMANA

Robią rzeczywiście, co mogą. Nadsłuchują i węszą, czy z Berlina nie idzie jakiś podmuch cieplejszego wiatru. Gdyby but z twardej skóry, gniotący karki, cokolwiek odchylił się, ryk radości przeszedłby po całych 15-tu miljonach. Gdyby świszczący bat na chwilę zawisł w powietrzu, padliby na kolana we wszystkich centrach świata. Ale niema nadziei, niema nadziei! Więc nadal u nas są fanatycznie: Pollacy. Idę ulicami w swojej dziś stolicy, Warszawie, w pochodzie demonstracyjnym z pochodniami... Maluczko a będą zamiast Hatikwy i Międzynarodówki śpiewali chóralnie:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
I dzieci nam germanił!"

Dopiero teraz tekst tej pieśni znalazłby właściwe zastosowanie. Powinien to był już śpiewać na swoim zjeździe „Związek Żyd. Uczestników Wojny i Walk o Niepodległość". Jeszcze nie śpiewał. Ale w Niemczech tymczasem już tamtejsi zaczynają śpiewać: *„Horst - Wessel - Lied"*...

Tu trzeba sobie przypomnieć jeden szczegół z przed wojny.

W r. 1890 w austrjackim parlamencie mówił rabin dr. Bloch:

„Moi Panowie. — Jeśli kiedykolwiek jaki naród stawał ochotniczo w służbę innego narodu od wieków, to czynili to żydzi dla Niemiec. Za niemczyznę walczyliśmy we wszystkich krajach Europy. Nawet w Polsce, gdzieśmy zostali przyjęci gościnnie,—gdzie królowie i książęta łaski i dobrodziejstwa nam świadczyli, nie przestaliśmy się wiernie trzymać niemieckiej mowy. Byliśmy męczennikami, sprowadziliśmy na siebie odrazę i niedowierzanie narodów, choć bowiem od wieków w jaimś kraju mieszkamy, nie zrzekamy się mowy niemieckiej dla obcej".

Nie zrzekamy się mowy niemieckiej! I nie zrzekają! I nie zrzekną! Mowy niemieckiej i solidarności z Niemcami. Teraz świeżo wydał w Berlinie niejaki Herzog broszurę o udziale „Związku Żydowskich Uczestników Wojny niemieckich...".

A prezes żydowskich niemieckich Uczestników Wojny (*Frontkämpfer*), dr. L. Freund pisze:

„Winniśmy wszystkie nasze wysiłki natężyć, by nowy narodowy duch Niemiec nie na zawsze utożsamił się z wrogością do Żydów i ich usunięciem za nawias życia niemieckiego. Związek kombatantów-Żydów czyni wszystko, by uratować te pozycje Żydów niemieckich, które ratować się jeszcze dają".

No i czynią wszystko, co mogą. Tylnemi schodami chyłkiem, na palcach włażą z powrotem, gdzie mogą. Przeszły na stronę czołową wielkie domy wydawnicze w Berlinie: Ullstein i Mosse, Frankfurterka, w Wiedniu wydawnictwo popularnego brukowca *„Neues Wiener Journal"* (Lippowitz i dr. Nagelstock). Wielkie firmy nakładcze, książkowe także: S. Fischer w Berlinie i pani Bernstein w Monachjum (*„Drei Masken Verlag"*). Z literatów żydowskich cały szereg „firm" już zaczął się wahać i gotów każdej chwili przejść do Nazi, jak wiedeński Salten *recte* Salzman. Niech tylko gwizdną w Berlinie, a wszyscy się z powrotem zlecą, jak V. Schiff filar *„Voswärts"*, który coraz jawniej staje w obronie Hamana w Londynie. Niech gwizdną raz drugi, to zaczną *unisono* z powrotem szczuć na Polaków i na Polskę i domagać się „korytarza", jak T. Wolff w *„B. Tagblatt"* (w marcu), jak A. Kerr - Kempner w zeszłym roku. I znów będą pisać w tym sensie, w jakim Max Harden Witkowski pisał w *„Zukunft"* (17 października 1914):

„Pozostaniemy w dolnej Belgji, do której dodamy wąski pas nadbrzeżny aż poza Calais... Od Calais do Antwerpji, Flandrja, Limburg, Brabant, aż poza linję ufortyfikowaną Mozy — wszystko to pruskie!".

Ale już im tak łatwo nie pójdzie ten powrót. Już im tam bowiem także nie uwierzą. Już wiedzą, że są zawsze tylko za zwycięscami, za *causa victrix*. Wchodziliby Polacy do Berlina, wszyscy byliby po stronie armji polskiej i dostarczaliby „źródłowych informacyj"; wchodziliby atoli Niemcy do Poznania czy do Katowic, wszystkich „źródłowych informacji" dostarczaliby falangom germańskim.

I dlatego tak ciężki los spotkał i tego biednego profesora Cossmana..

Kto jest znów Cossman?

Cossman, to była wielka znakomitość i potęga jeszcze rok temu. Wydawca, redaktor i kierownik dwu katolickich, potężnych pism w Monachjum, to jest *„Münchener Neueste Nachrichten"* i *„Süddeutsche Monatshefte"*. Podczas wojny europejskiej profesor uniwersytetu monachijskiego, dr. Cossman to był jeszcze żyd i liberał. Przy końcu wojny się wychrzcił, a że grasował w katolickiej Bawarji, więc przyjął katolicyzm. Jako katolik, objął redakcję poważnego, starego miesięcznika *„Süddeutsche Monatshefte"*. I odrazu zaczął przesadzać. Stał się nazagorzalszym katolikiem, Bawarczykiem, Wszechniemcem. I wtedy głosił tak zwaną *„Dolchstosslegende"*, to znaczy legendę o uderzeniu Niemiec sztyletem w plecy w krytycznym momencie, kiedy losy wojny się wahały, sztyletem socjaldemokracji. W nagrodę za *„Dolchstosslegende"* dano mu redakcję *„Münchener Neueste Nachrichten"*, które z ultra-żydowskiego, liberalnego organu przefasonował na bawarsko - katolicki organ. Ale przesadzał dalej. Co tydzień odbierał nam we wstępnym artykule G. Śląsk, co drugi tydzień Pomorze, co trzeci całą Wielkopolskę, a wogóle traktował jako *„Saisonstaat"*. W wojowniczym nacjonalizmie przesadzał tak, jak swego czasu Gringmuth w *„Moskiewskich Wiedomostiach"*, jak prasowe żydy budapeszteńskie, jak Harden w Berlinie, jak Jeroboam Mandel - Rotszyld w Paryżu.

W r. 1928 uwikłał się w aferę z Tomaszem Mannem. Zaproponował mu napisanie powieści dla *„Süddeutsche Monatshefte"*. Mann, jak wszyscy literaci, wydawany był przez żydowskich nakładców, czytany głównie przez żydowską publiczność (Niemcy rdzenni też albo nic nie czytają, albo śmieciarstwo), forytowany, „lansowany i pusowany" przez literacki *Bnai - Brith*. Aby nie pójść na czarną listę i zemrzeć głodem, ostentacyjnie odmówił; mógł zresztą i czuć wstręt do zamaskowanego „Józefa Flawjusza"... I wtedy fanatyczny profesor Cossman rozpoczął systematyczną nagonkę na aryjczyka Manna (pochodzącego z patrycjatu hanzeatyckiej Lubeki), nagonkę, wpędzającą autora „Buddenbrocków" coraz dalej i głębiej w objęcia *„vermine du monde"*. Im „katolik" Cossman szczuł wścieklej, tem liga genjalnych parszywców krzykliwiej i nachalniej patronowała Mannowi, aż wreszcie normalnego Niemca i świetnego autora wpędzono w moralne i duchowe *Ghetto*.

Rok temu Cossman zaczął tracić węch. Zdawało mu się, że hitleryzm wprowadzi z powrotem Wittelsbachów. ogłupiałe, stare żydzisko postawiło wszystko na kartę monarchiczną. Przeliczył się i przegrał.

Odebrano mu oba pisma, a głosiciel *„Dolchstosslegende"*, ultranarodowiec, Bawarczyk ultramortanin, archipapista, monarchista, konserwatysta, restaurator Wittelsbachów, wróg Francji, obłędnie nienawidzący Polaków, Czechów, Jugosłowian, zakuty w dyby poszedł do więzienia, poczem do obozu koncentracyjnego. *Camouflage* nie pomógł, maski już nie zrobiły wrażenia, Haman berliński nie chciał słyszeć o amnestji. Cossman *hat seine Schuldigkeit gethan*, Cossman *kann... sitzen*...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W Warszawie w d. 25 i 26 czerwca oglądaliśmy na ulicach śródmieścia i w Ratuszu pochody i zebrania kombatantów żydowskich, którzy walczyli o wyjarzmienie Polski — *pro Polonia restituenda*. Ale mniejsza o to.

Żydzi wogóle są waleczni. Do Lublina przybył 21. VI na rewję Żabotyński, wódz naczelny wojsk żydowskich, mających siłą odebrać Arabom Palestynę — *pro Judea restituenda*. „Głos Lubelski" (nr. 170) opisuje tę rewję rewizjonistycznego syjonisty w sposób zapierający oddech. Pod Zamkiem oddział żabotyńców dostał się w zasadzkę, urządzoną przez bundowców:

„Napadli oni na żabotyńców z nożami w ręku. W bójce zostało poważnie rannych wiele osób. Wielu rannych opatrzono w szpitalu żydowskim i szereg „na placu boju". Rzecz znamienna, że ranni — to żabotyńcy, a ślady „bitwy" noszą przeważnie w okolicy pewnej części ciała. Według opowiadań Machabeuszów, „bronili się oni zaciekle" w ten sposób, że położyli się na ziemię, a napastnicy żgali ich nożami. Nic dziwnego, że przy tak wypróbowanej „strategji" żydowskie przysposobienie wojskowe otrzymało potężne lanie. Z opresji wyzatowało ich przybycie policji z przedstawicielem starostwa na czele. Dokonano aresztowań, poczem zbity oddział wrócił pod osłoną policji do miasta".

*

„Sanacja" hoduje wśród młodzieży własne zastępy. Ablegry te, na gruncie obficie znawożonym i podlewanym, dają kwiat osobliwej barwy. Powstała np. korporacja młodzieży pod nazwą „Cosmopolitanja", nazwana tak dla wyróżnienia się od korporacyj barwy narodowej. Ponieważ jednak „sanacja" jest zjawiskiem lokalnem i ma charakter bądź co bądź regjonalny, więc zdecydowano się teraz zmienić nazwę na „Brygadja". Członkowie — „bryganci". Zmiana to tylko nazwy, ale jakże to pouczające, że „Cosmopolitanja" i „Brygadja" — to tożsamość. W projekcie są podobno korporacje, mianowane nazwiskami ministrów, na wzór istniejącej już „Piłsudji", oraz takie, jak „Bebekja".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM